1162/19

W NUMERZE: Rozmowy z Faulknerem • Walka z kulturą polską • Romanów w Roku Kraszewskiego • Co robią plastycy rzeszowscy • Gdzie Rzym, a gdzie Raczki? • Inteligencja na wsi • Początek flirtu • Ponidzie • Rewelacja • Profile • Po powrocie z Polski (2) • I in.

BIBLIOTEKA U.M.C.S.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15.X.1962

Nr 19 (257)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

WIELKA SZANSA

CZESŁAW KAŁUŻNY

„...powinniśmy uważać Polskę za jedno z najważniejszych laboratoriów, w którym przygotowuje się świat jutra" — pisał Georges Friedmann, autor znakomitej książki pt. *Maszyna i człowiek*.

Nie ma żadnej przesady w tym powiedzeniu. Weźmy dla przykładu Bychawę. Miasto powiatowe na Wyżynie Lubelskiej, liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców. Jej przeszłość — szesnastowieczne synody ariańskie. Historię dwóch następnych wieków można odczytać z ruin pałacu. Przyszłość? Już nie marzenia o małej fabryczce, która zatrudni wolne ręce. Wyznaczają ją odkryte niedawno bogate złoża węgla brunatnego. Powstanie ogromny kombinat paliwowo-energetyczny; wielka kopalnia i najnowocześniejsza elektrownia. Zmieni się krajobraz, rodzaj zatrudnienia i warunki życia mieszkańców rozległej okolicy. Przed Barburką i Dniem Energetyka ustąpią chłopskie dożynki.

Zupełnie tak samo upodobniły się do Śląska najuboższe rejony Wielkopolski. Pod Koninem porzucili chłopi bez żalu chude zagony i miedze. Stają się górnikami, energetykami i robotnikami nowoczesnej chemii. To samo można powiedzieć o innych regionach, w których rytm życia wyznaczyły ostatnie decyzje gospodarcze. O Gdańsku i jego stoczni — inwestycji równej Nowej Hucie. O Zagłębiu Turoszowskim. Zagłębiach miedzi i siarki. Bełchatowie i kombinacie petrochemicznym w Płocku oraz wielu innych.

Pośpieszne procesy uprzemysłowienia kraju, urbanizacji, mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa, nie spotykany rozwój środków masowej komunikacji — wywołują zmiany w zachowaniu się człowieka. Zmiany zauważalne gołym okiem w postawie, obyczajach, poglądzie na świat. Jak w tyglu ogromnym mieszają się i ścierają różne właściwości psychiczne, poglądy i przekonania. Procesy przewartościowywania nabierają szczególnego przyśpieszenia. Obserwuje się też szczególne skondensowanie konfliktów.

Konkretność, z jaką spotykają się działacze kulturalno-oświatowi, jest więc niezwykle złożona i zgoła nowa. Wymaga — co jest oczywiste — wnikliwego poznania. Ale też i uzmysłowienia sobie równie oczywistego faktu, że powstający „świat jutra" domaga się nowych treści i odpowiadających im kształtów. Również w działaniach kulturalno-oświatowych.

KONIECZNOŚĆ REWIZJI

Czy rzeczywiście owa złożona konkretność spowodowała weryfikację tradycyjnych form i metod oddziaływania? W takich Puławach, na przykład, zarzuca się naukowcom, że nie uczestniczą w życiu kulturalnym, a konkretnie w domu kultury. A co znajdą w nim dla siebie oprócz amatorskich zespołów i ping-ponga? Że nie zmieniono form i metod pracy, przekonałem się w konińskim rejonie górniczo-energetycznym. A przykład ten wydaje mi się typowy. Podobne sytuacje zaobserwowałem również w innych ośrodkach wielkiego budownictwa przemysłowego.

Mieszkańcy osiedla w Czarkowie — największego skupiska pracowników elektrowni i kopalni — są przeważnie młodzi. Zaaferowani estetycznym i nowoczesnym urządzaniem mieszkań, nie uczestniczą w ogólnym życiu kulturalnym. Ani w sensie poważniejszej pracy organizatorskiej, ani też w formie udziału w dostarczanych imprezach. Pracownicy kulturalno-oświatowi i społeczno-polityczni opatrzyli ich etykietką abnegatów kulturalnych, „ludzi aspołecznych, zmaterializowanych (w najgorszym tego słowa znaczeniu), izolujących się od życia społecznego. Nie trzeba dodawać, że w ten sposób wyobcowali się ze środowiska inżynieryjno-technicznego, pod którego adresem skierowali swą bardzo ujemną i niesłuszną opinię. Nadto zrazili sobie ludzi, od których zależy rozmach działalności kulturalnej, którzy z racji wykształcenia, zajmowanej pozycji zawodowej i wyrobienia kulturalnego stanowić winni wzory dla pozostałych pracowników. A przecież poświęcili oni wiele energii

(Dokończenie na str. 2)

REKLAMOWA POCZTÓWKA ...Z CIENIEM

ADOLF JAKUBOWICZ

W UBIEGŁYM wrześniu obradowała w Rzeszowie sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej poświęcona problemom turystyki. W historii rzeszowskiej Rady była to pierwsza sesja biorąca „na warsztat" stan i perspektywy rozwoju ruchu turystycznego w województwie rzeszowskim. W skali krajowej odbyło się już kilka podobnych posiedzeń plenarnych wojewódzkich rad narodowych o tej tematyce. Radni zapoznali się z referatem sekretarza Prezydium WRN Franciszka Kiełbickiego „Turystyka i zagospodarowanie turystyczne w województwie rzeszowskim", następnie objechali słynną „Obwodnicę Bieszczadzką", łączącą powiatowe Ustrzyki Dolne i Lesko z bezludnymi nie zagospodarowanymi dotąd rejonami Bieszczad. Sesja zakończyła obrady w obchodzącym właśnie swe 800-lecie Sanoku. Nie chciałbym przytaczać dokumentów sesji, jej uchwały, dyskusji, podsumowań. Myślę, że zbyt mało upłynęło czasu, by ocenić skuteczność czy braki podjętych decyzji. Warto natomiast rozpatrzeć kilka problemów bardziej ogólnych, które wydaje mi się mogą być dla czytelnika interesujące.

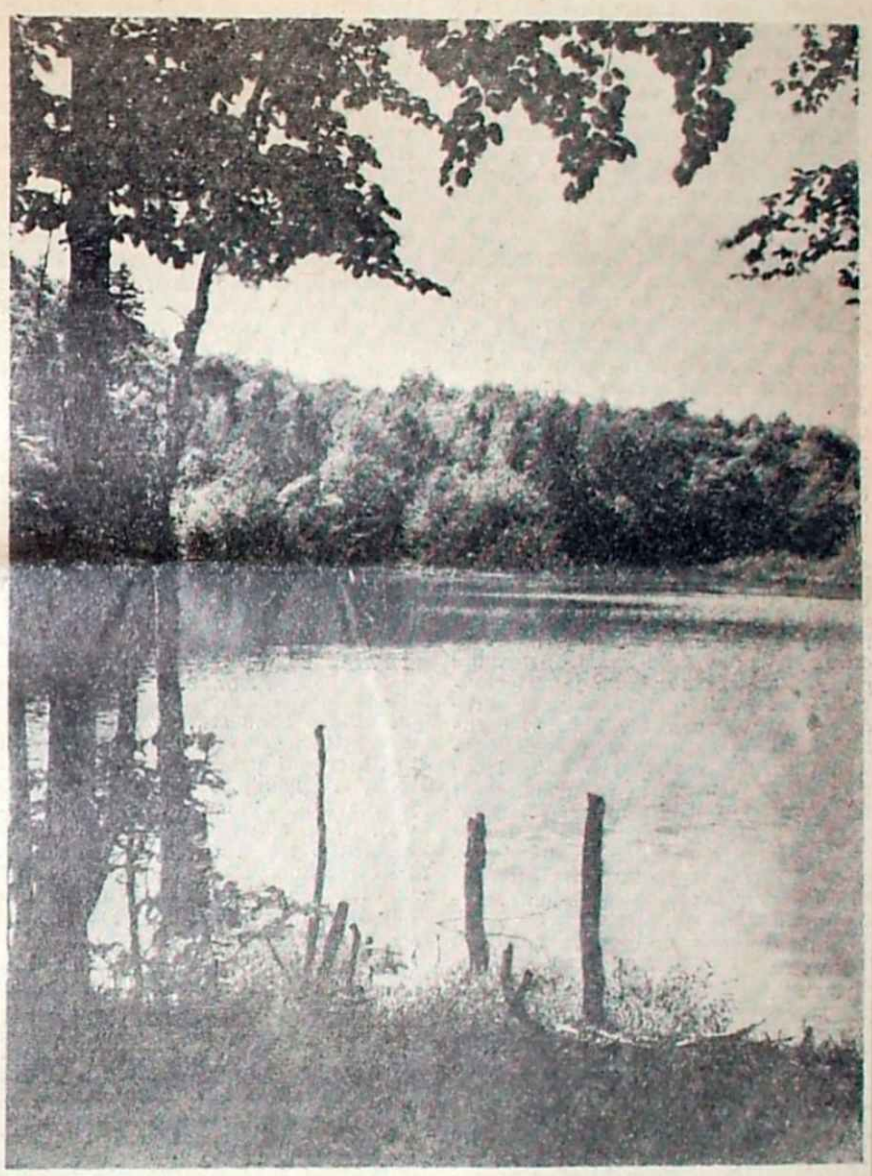

Fot. Zdzisław Postępski

Bieszczady — Jezioro Duszatyńskie

Rzeszowskie w okresie ostatnich dwóch, trzech lat robi zawrotną karierę terenu atrakcyjnego dla niemal wszelkiego rodzaju turystyki. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Podczas gdy np. w roku ubiegłym wskaźnik wzrostu turystyki dla kraju wynosi 116, w Rzeszowskiem 169. W roku bieżącym wynosił on w skali krajowej 130, w województwie rzeszowskim 183. W liczbach bezwzględnych za rok ubiegły notujemy 827.000 turystów z kraju i zagranicy, którzy odwiedzili województwo rzeszowskie.

Fakty te wskazują, że turystyka staje się dla tej części kraju zjawiskiem o tak dużej dynamice rozwojowej, jakiej nie przewidywali najwięksi optymiści. A jednak to, co się działo w roku bieżącym w wielu najczęściej odwiedzanych przez turystów terenach, optymizmem bynajmniej nie napawa. Pozwolę sobie być nieco innego zdania o perspektywach turystycznych województwa rzeszowskiego niż oficjalna w tej sprawie opinia. Nie mam nic przeciw atrakcyjnym, pięknie wydanym plakatom i prospektom, jakimi staramy się zachęcić do przyjazdu: „W Bieszczady po słońce i przygodę", „Do zobaczenia w pięknym Przemyślu", — jakimi zapraszamy do odwiedzenia Krasiczyna, Łańcuta, Rzeszowa. Byłoby to pozbawione wszelkich podstaw „wybrzydzanie się". Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dzieje się tu coś zakrawającego na grube nieporozumienie.

Czy reklama, jaką organizuje się dla podkreślenia walorów turystycznych Rzeszowszczyzny, pozostaje w jakichkolwiek proporcjach do tego, co przyjezdny turysta może rzeczywiście tu zastać? Czy nie uczciwiej było by wszędzie tam, gdzie istnieje do tego okazja, rzetelnie i szczerze informować, czego turysta może, a czego nie powinien się spodziewać przyjeżdżając na wycieczkę w Bieszczady, do Łańcuta, w rejon karpackiej strefy konwencyjnej?

Podczas wakacji zetknąłem się w różnych rejonach województwa z dziesiątkami ludzi, którzy zjawili się tu ściągnięci reklamą i... modą. „Mo-

(Dokończenie na str. 12)

WIELKA SZANSA

(Dokończenie ze str. 1)

i czasu dla zbudowania telewizyjnej stacji przekaźnikowej. Bezpłatnie (!) opracowali plany i projekty techniczne. Pełnili społecznie obowiązki nadzoru fachowego. Druga pasja — kulturalny, nowoczesny klub. Pełnią w nim dyżury. Organizują bardzo taktownie różne akcje mające na celu — jak mówią — nauczenie ludzi kulturalnego spędzania czasu. Bezinteresownie i cierpliwie — mimo ataków za rzekome izolowanie się od robotników. Owszem izolują się od pijaków i awanturników. A mimo to zarzuca się im tworzenie inteligenckiego getta.

Mamy na szczęście już za sobą gromkie pokrzykiwanie o szkodliwości społecznej i politycznej ogródków działkowych, świadczących rzekomo o mieszczaństwie. Dążenie do samochodu, wygodnego mieszkania, chęć spotykania się w klubie — przy kawie i brydżu — przestano traktować jako odradzanie się drobnomieszczaństwa.

Skąd więc u pracowników kulturalno-oświatowych takie powierzchowne i niesłuszne oceny. Czy nie jest to akt samoobrony ludzi opóźniających się, nie nadążających za ogólnym postępem, tak szybkim w ośrodkach jutra? Maruderzy ci nie dostrzegli nowych potrzeb i zainteresowań kulturalnych. Zamiast organizować wystawy i dyskusje nad nowoczesnymi wnętrzami mieszkań, projekcje filmowe na interesujące środowisko zagadnienia, kursy motoryzacyjne itp., wolą z dokuczliwą natrętnością werbować chętnych do orkiestry, chóru, ping-ponga. A przecież wiadomo, że nie mogą być skuteczne tradycyjne formy pracy, jeśli równolegle nie zaspokaja się nowych potrzeb i zainteresowań. Lub wręcz uznaje się je za małowartościowe, bądź szkodliwe społecznie; a tak właśnie bywa. W takiej atmosferze porozumienie się jest niemożliwe.

Pracownik kulturalno-oświatowy, czy aktywista społeczny izolujący się od środowiska, nie umiejący spożytkować w pracy sił najbardziej dynamicznych i kulturotwórczych, działa w najlepszym razie nieskutecznie. Czasem wręcz, mimo zapracowania i zalatania, oddziałuje negatywnie na rozwój kulturalny środowiska. Przeciwnie, wprowadzenie do programu pracy placówki kulturalnej problematyki rzeczywiście interesującej środowisko, lub jego część, stanowi czynnik kształtujący klimat dla powstawania coraz to wyższych zainteresowań oraz aktywizacji uczestników wokół działalności i zamierzeń. Klimat konieczny dla ujawnienia się wzorów społecznych tak pożądanych dla pogłębiania zmian w postawach szerszego kręgu ludzi. Dla oddziaływania szerszego i trwalszego.

Big-beat, rock and roll, czy twist nie zastąpi koniecznego treningu komórek mózgowych. Rozwój psychiczny nie następuje też w wyniku trenowania tańców ludowych, albo dmuchania w trąbkę. Mimo tej oczywistości przeraża kurczowe trzymanie się tradycyjnych form. W najlepszym przecież razie uczestnikom domu kultury, klubu, czy świetlicy proponuje się zamiast krakowiaka czy macha — turnieje tańca towarzyskiego. Zatwardziały już widać stereotypy dynamiczne wielu działaczy.

Jeden z nich tłumaczył mi, że nie może nawet częściowo finansować kursu motoryzacyjnego, ponieważ zainteresowanie nim wynika z prywatnego hobby. Może natomiast zorganizować kurs kroju i szycia. To już nie jest hobby, lecz potrzeba społeczna. Diabelnie skomplikowana współczesność staje się abrakadabrą, kiedy trzeba rozstrzygać między hobby, a potrzebami społecznymi. Między społeczną potrzebą haftowania serwetek, a prywatną zachcianką nabycia biegłości posługiwania się techniką. Bywa, że z pomocą przychodzi czujna świadomość klasowa. Wtedy życie jest prostsze. Zwycięża kurs kroju i szycia, bo zapisały się obok pań z biura... i żony robotników. Zaś kurs motoryzacyjny jako interesujący inteligencję uznaje się za sprawę prywatną. Zajmie się nim NOT i wszystko będzie w porządku. Przy okazji ktoś stwierdzi, że inteligencja się izoluje, unika zajęć w klubie.

NAJWAŻNIEJSZY WNIOSEK

Przykłady Konina czy Puław nie są odosobnione. Służą tylko egzemplifikacji zjawisk ogólniejszych. Ich główną przyczynę — jak sądzę — stanowi **nierozumienie specyfiki działań kulturalno-oświatowych, czyli ogromnego zróżnicowania psychik poszczególnych ludzi i w związku z tym różnych potrzeb kulturalnych.** Wielości motywów skłaniających do uczestnictwa w pracy kulturalno-oświatowej i różnego ich natężenia. Zróżnicowania zainteresowań i wynikającej z nich aktywności kulturalnej. Wielorakie też czynniki oddziałują na ludzi, na ich rozwój psychiczny, a także na placówki kulturalno-oświatowe. Z tego wszystkiego wynikać może tylko jeden wniosek: uczyć się. Dopiero **połączenie z wiedzą doświadczeń, ambicji, energii i pracowitości stwarza warunki dla skutecznego działania.** A przecież o to nam najbardziej chodzi.

Nieprzypadkowo zwróciłem uwagę na połączenie wiedzy z doświadczeniem. Często bowiem pada pytanie pracowników kulturalno-oświatowych: jak realizować postawione zadania? Poszukują na nie odpowiedzi wszędzie. Najmniej jednak u siebie samych — w analizie własnej pracy. Niestety najrzadziej źródłem poznania jest właśnie praktyka. Refleksje dotyczące przyczyn powodzenia lub jego braku. Systematyczna analiza doświadczeń własnych i cudzych. Oczywiście teoria pozwala na znalezienie odpowiedzi na dręczące pytanie (jeśli się takie pojawia) — jak lepiej pracować. Dzieje się to wtedy, kiedy nabyto już umiejętności spożytkowania uogólnień. Prawidła zawarte w piśmiennictwie nie zawierają przecież szczegółowych wytycznych dla każdej konkretności.

Nie można też ograniczać się do literatury metodycznej dotyczącej uprawianej specjalności, należy sięgać szerzej; również do nauk społecznych. I również do prakseologii, czyli nauki o sprawnym działaniu. Wtedy okaże się, że nie wystarcza największe poświęcenie się kierownika klubu, codziennie wyżywającego się dla dobra ogółu... w grze na saksofonie. Tak, jak nie wystarcza organizowanie kawiarenki, prowadzenie przyjemnej rozmowy w gustownie urządzonym klubie. Ruch, akcja goniąca akcję, może wystarczyć dla sprawozdania. W laboratoriach, „w których przygotowuje się świat jutra" — na pewno nie wystarczy.

POWIAT SAMODZIELNYM OŚRODKIEM KULTURY

Każdego roku stawiamy sobie nowe szczegółowe cele i zadania, określamy kierunki działania. Dla ich ustalenia i pełnej realizacji potrzebne jest zrozumienie prawdy podstawowej, że **oblicze kulturalne narodu kształtuje się we wsiach i miastach, w ośrodku życia społecznego, a nie w urzędach, pustych salach i w niekończących się papierowych bojach o kompetencje.**

Toteż obecnie główny nacisk kładziemy na aktywizację gromad, na samodzielną rolę powiatu — głównego ogniwa w realizacji polityki kulturalnej. Zasadniczą tendencją nowego roku kulturalno-oświatowego jest **umocnienie powiatu jako samodzielnego ośrodka życia kulturalnego.**

Potrzebna będzie dalsza i jeszcze większa pomoc stolicy i ośrodków wojewódzkich, rozwiązanie wielu szczegółowych spraw i problemów, zwłaszcza zmiana funkcji różnych instytucji. Najbardziej jednak potrzebne jest poczucie się w nowej roli wszystkich powiatowych rad narodowych i powiatowych instytucji kulturalnych. Zrozumienie treści tej nowej tendencji polityki kulturalnej.

Jej sens stanowi **wykorzystanie całej inteligencji pracującej w miastach powiatowych, w małych miasteczkach i na wsi w pracach koncepcyjnych rad narodowych. W komisjach oświaty i kultury powiatowych i gromadzkich rad narodowych. W regionalnych i lokalnych stowarzyszeniach kulturalnych. Chodzi tu o wyzwolenie inicjatywy społecznej, mądre łączenie środków, ambicji i wysiłków wszystkich organizatorów życia kulturalnego. Uwzględnianie hierarchii potrzeb i spraw rzeczywiście decydujących o rozwoju kulturalnym mieszkańców, o ich aktywności intelektualnej.**

Będzie to początkowo trudne, bo zakorzeniony jest zwyczaj wyrzucania pieniędzy na różne przemijające po jednym—dwóch dniach fajerwerki, wycieczki i małowartościowe imprezy rozrywkowe. Znajdują się na przykład pieniądze na reprezentacyjne zespoły pieśni i tańca, a z jakim trudem przychodzi wysupłać grosz na uzupełnianie księgozbiorów, wyposażenie świetlic czy zakup instrumentów dla ogniska muzycznego. Konieczna jest więc **zasada dalekowzroczności wyrażająca się w opracowaniu perspektywicznego planu rozwoju kulturalnego powiatu i jego konsekwentnej realizacji.** Pełne poczucie odpowiedzialności za kierunek i tempo przemian społeczno-kulturalnych. Przecież musi się wreszcie skierować działalność kulturalną powiatów na tory planowej pracy. Obliczonej na lata, przy jednoczesnym sprecyzowaniu zadań szczegółowych każdego roku. Nie dla szablonu i satysfakcji biurokratów, lecz dla zerwania z praktyką słomianego ognia, odświętnej gali i improwizacji.

Perspektywiczny plan rozwoju kulturalnego powiatu obejmujący wszystkie już istniejące dobra i wszelkie możliwości, które tylko przewidzieć można, odwołujący się do sił społecznych **staje się dzisiaj koniecznością.** Potrzebą naprawdę powszechną. Nie tylko w kilkunastu powiatach kraju jak to się do tej pory dzieje, lecz w każdym powiecie. Konieczność tę dyktuje zwłaszcza trudna sytuacja kraju, potrzeby wielkiej wagi. Niekoniecznie wszystkie potrzeby musi się załatwiać z kiesy państwowej.

Ale **wyzwalać energię społeczną, uruchamiać utajone środki finansowe i rezerwy można tylko wtedy, kiedy zdoła się przedstawić ambitny program.** Kiedy stworzy się klimat, w którym żadna społeczna inicjatywa (nawet najbardziej niepozorna) nie będzie zmarnowana.

Realizacja polityki kulturalnej, rozwój kulturalny powiatów zależy od stosowania trzech głównych metod: koordynacji sił, środków i zamierzeń, po drugie — od oparcia się o społeczny ruch kulturalny i zapewnienie mu maksymalnej pomocy, wreszcie — od wyboru upowszechnianych treści.

Jest naprawdę rzeczą obojętną, kto i w jakiej formie będzie wyzwalał społeczną energię, koordynował poczynania i środki — powiatowe komisje koordynacyjne, komisje oświaty i kultury rad narodowych czy określone stowarzyszenia bądź instytucje. Chodzi przecież o społeczny rezultat tych działań, a nie o formę, o ich zewnętrzny kształt.

Poruszyłem sprawę wyboru upowszechnianych treści. Łączy się ona bardzo z zagadnieniem usamodzielnienia powiatów. **Uczynienia z nich** samodzielnych ośrodków kultury. To nader skomplikowana sprawa. Weźmy dla przykładu teatr. Dociera on do miasta powiatowego i kilku pomniejszych miast bardzo rzadko. Raz w miesiącu, albo jeszcze rzadziej. Gra przy tym najczęściej przy połowie zajętych miejsc na sali. Tylko w nielicznych powiatach domy kultury organizują dojazdy ludności ze wsi i miasteczek do miasta powiatowego na przedstawienie teatralne. Widownia świeci nie tylko pustkami, ale składa się też najczęściej z widzów przypadkowych. Dom kultury nie zajmuje się propagandą sztuki i jej przybliżeniem; nie zachęca do systematycznego bywania w teatrze.

Wiele natomiast energii i środków poświęca się na zaspokajanie potrzeb teatralnych przez zespoły amatorskie, niesłusznie przypisując im rolę zastępowania teatru prawdziwego. Ileż to niezdrowych, szkodliwych przykładów konkurencji, nieporozumień. Poważny odsetek kierowników amatorskich zespołów teatralnych nie bywa przecież w teatrze. Przeważająca liczba członków amatorskiego ruchu teatralnego nigdy w życiu nie widziała teatru z prawdziwego zdarzenia. Nic też dziwnego, że bywają przedstawienia „Moralności pani Dulskiej"... głoszące pochwałę dulszczyzny. Że sztukę zastępują jej namiastki, a dobre chęci, miast kompetencji i kwalifikacji, najczęściej nie uchronią przed gloryfikowaniem szmiry i parafiańszczyzny.

Posiadamy dość gęstą sieć instytucji muzycznych. Filharmonie i orkiestry symfoniczne wyjeżdżają w teren. Wysyłają też zespoły mniejsze z tak zwanymi audycjami muzycznymi dla szkół. Niestety i tu miejsca na salach są tylko w części wykorzystane. Podraża to znacznie koszty, i co ważniejsze, zaspokaja tylko w drobnej części istniejące potrzeby kulturalne. Natomiast zawodowy ruch „zastępują" amatorskie zespoły muzyczne, choć członkowie tych zespołów nader rzadko trafiają na koncerty. A ileż to razy instruktor domu kultury „służbowo" gra na saksofonie lub perkusji amatorskiego zespołu, zamiast zająć się organizacją koncertów, ich popularyzacją i przygotowaniem słuchaczy.

Oczywiście **amatorski ruch muzyczny, właściwie pomyślany, spełnia ogromnie doniosłą rolę społeczną.** Rozwija uzdolnienia, talenty, zainteresowania, aktywność kulturalną. Nieporozumienia natomiast zaczynają się wtedy, kiedy zaczyna „zastępować" zawodowe instytucje artystyczne. Zwłaszcza, że możliwości tych instytucji nie są w pełni wykorzystane. To samo dotyczy również innych dziedzin sztuki: plastyki, literatury pięknej itd.

Stoi więc przed nami ogromne zadanie: uczynienia z domów kultury, klubów i świetlic rzeczywistych ośrodków kultury. Instytucji zajmujących się upowszechnianiem wiedzy i sztuki, przesiąkniętych na wskroś prawdziwą sztuką i wiedzą współczesną, a nie jej namiastkami.

Podobnie i istniejące muzea trzeba przekształcić w uniwersytety kultury, pomagając im wyjść ze sztywności świątyń.

Konieczne są wysiłki dyrekcji kin, teatrów, instytucji muzycznych, by placówki te stały się aktywnymi ośrodkami upowszechnienia kultury, żeby wychodziły na spotkanie widza (słuchacza), przy czynnej pomocy placówek kulturalno-oświatowych.

Przed bibliotekami w całym kraju staje problem dopuszczania czytelnika do księgozbiorów. Umożliwienia mu bezpośredniego obcowania i wyboru przez wprowadzenie wolnego dostępu do półek i zorganizowanie przy każdej bibliotece czytelni. Inaczej biblioteki nie staną się **ośrodkami pracy oświatowej w środowisku i mocnym punktem oparcia dla regionalnych i lokalnych towarzystw naukowych.** — Nie będą służyły im informacją bibliograficzną czasopismami i potrzebną literaturą.

WNIOSEK KOŃCOWY

Nie grozi naszemu życiu społeczno-kulturalnemu stagnacja, czy upadek. Przeciwnie — otwierają się dla ośrodków powiatowych, mimo przejściowych kłopotów państwowego budżetu na kulturę, nowe perspektywy, szanse, które należy maksymalnie wykorzystać.

Dynamika życia kulturalnego powiatu jest uzależniona w dużej mierze od pomocy ośrodków wojewódzkich. Nie chodzi tu o dodatkowe miliony, choć i te są potrzebne. Raczej o merytoryczną, pełnosprawną pomoc instytucji kulturalnych w usamodzielnieniu się powiatu i jego placówek kulturalnych. W podejmowanych pracach koncepcyjnych, w upowszechnianiu dobrych doświadczeń i szczęśliwych rozwiązań, w doskonaleniu i doborze kadr. W przekazywaniu współczesnych treści. **Wartości pierwszej kategorii.**

Wszystko to, wraz z wkładem środków, energii i pomysłowości gromadzkich i powiatowych rad narodowych może zagwarantować nam dobry start i rok szczęśliwszy od minionego.

Czesław Kałużny

OKOLICA POETÓW

TADEUSZ KŁAK

STANISŁAW Czernik — poeta, krytyk, teoretyk poezji i redaktor — związał swe nazwisko z dwoma faktami ważnymi dla polskiej literatury: wydawaniem w latach 1935—1939 poetyckiego pisma „Okolica Poetów" oraz stworzeniem poetyckiego kierunku pod nazwą autentyzmu. Fakt pierwszy był niezwykły o tyle, że pismo o znaczeniu ogólnopolskim wychodziło w Ostrzeszowie, a więc na głębokiej prowincji i tylko chełmska „Kamena" ma pod tym względem prawo pierwszeństwa. Natomiast głównym powodem do dumy redaktora jest to, że „Okolica Poetów" stała się trybuną autentyzmu, jedynego rodzimego kierunku poetyckiego, bez cudzoziemskiego rodowodu. Autentyzm miał zawsze znacznie więcej sympatyków niż wyznawców, a tych ostatnich przybywało niewielu. I dziś, tak jak przed wojną, autentyzm opiera się na Czerniku, Ożogu i Frasiku, w ostatnich latach obok nich stanął blisko Tadeusz Nowak. Niemniej dyskusje wokół autentyzmu były zawsze płodne, wywoływały ferment i służyły doskonaleniu pojęć dotyczących istoty poezji, procesu twórczego, kryteriów liryki i liryzmu. Przykładem owocnego sporu może być polemika Czernika z Julia-

(Dokończenie na stronie 12)

ROZMOWY Z FAULKNEREM

Wiliam Faulkner brał wielokrotnie udział w spotkaniach publicznych, zwłaszcza z młodzieżą studencką; w czasie takich spotkań odpowiadał na różne zadawane mu pytania. Poniżej zamieszczamy kilka wypodzi szczególnie znamiennych dla niedawno zmarłego Pisarza.

X: W swym przemówieniu w Sztokholmie mówił pan o swej głębokiej wierze w ludzkość; nie tylko o wierze w to, że ludzkość przetrwa, ale także, że zwycięży... Czy sądzi pan, że przeciętny czytelnik wynosi takie właśnie wrażenie z lektury „Zgiełku i obłędu"?

Faulkner: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo nie wiem, jakie wrażenie wynosi z tej książki przeciętny czytelnik. A sam nie mam nigdy czasu na czytanie recenzji, nie wiem więc, jakie wrażenie odnoszą czytelnicy. W moim jednak przekonaniu o tej właśnie wierze mówiłem, jej chciałem dać wyraz we wszystkich książkach. Zgodzę się z panem, że mi się to nie udało. A przecież to właśnie usiłowałem powiedzieć: że człowiek zwycięży i że przetrwa, bo jest zdolny do współczucia, uczciwości, dumy, cierpliwości i wytrwania.

X: Ale jak tłumaczy pan nieprzeliczone okrucieństwa, jakich ludzie się wobec siebie dopuszczali, jakich się codziennie dopuszczamy w imię religii czy polityki?

Faulkner: Nie powiedziałem, że wierzę w dobroć człowieka, powiedziałem tylko, że człowiek zwycięży i że po to musi starać się być lepszym. Czy przetrwa dosyć długo na ziemi, by osiągnąć ostateczną dobroć — tego nikt nie może powiedzieć. Ale staje się lepszy, bo jedyną alternatywą postępu jest śmierć. I już dziś można stwierdzić, że na przykład nie wolno zatrudniać dzieci, że kupcy nie mogą sprzedawać trujących artykułów żywnościowych. Są to może wszystko nieznaczne oznaki postępu, ale przecież postępu. Nikogo się dziś nie wiesza za to, że ukradł kawałek chleba. Nikogo się nie zamyka do więzienia za długi. To wszystko to postęp, niewielki, trzeba przyznać, niewspółmierny do bomby atomowej i tym podobnych, ale jednak postęp. Człowiek staje się lepszy.

X: Czy nie chciałby nam pan coś powiedzieć o swojej podróży do Grecji?

Faulkner: Było to przeżycie o tyle niezwykłe, że był to jedyny kraj, który okazał się dokładnie taki sam, jakim go sobie wyobrażamy, który wygląda tak, jak nas o tym uczono w szkole. Odnalazłem tam ową świetlistość Hellady, o której słyszałem, o której czytałem. Widziałem także błękitne morze Homera. Jest to jedyny kraj, jaki znam, w którym duch dalekiej przeszłości zdaje się żyć, ale nie ma w sobie nic wrogiego. W innych częściach Starego Świata ów duch przeszłości ma w sobie często coś barbarzyńskiego i groźnego. W Grecji ludzie żyją na tle historii, którą mimo oddalenia w czasie można odnaleźć w świetlistości pejzażu, w budzeniu się pór roku. Nie czekaliśmy, by duchy dawnych Greków albo widma ich bogów wstały z martwych, ale zdawało nam się, że one tam są i że są potężne. Nie wrogie, ale potężne. Czuliśmy, że istnieją. Odeszły do swego rodzaju Nirwany, uchodząc przed ludzką głupotą i troskami. Mają dosyć czasu, aby patrzyć na ludzi, nie mieszając się do ich spraw... Zdaje mi się, że pobyt dwutygodniowy jest nie tylko za krótki, ale jest obelgą dla tego kraju, który powinno by się zwiedzać nie kładąc sobie żadnych granic w czasie. Jest tam tyle do zobaczenia i zawsze trafiamy na rzeczy właśnie takie, jakimiśmy je sobie wyobrażali. Widzimy równinę i nagle w głębi ośnieżony Parnas, natykamy się na ruiny i kolumny, i prawie nie dostrzegamy ich starości, bo zdaje nam się, że to, o czym czytaliśmy, działo się dopiero wczoraj. Także z tego względu jest właściwie obojętne, czy Agamemnon żył, czy był postacią rzeczywistą, czuliśmy jego obecność, po prostu był tam, bo być musiał. Ma swe miejsce w literaturze i w wyobraźni ludzkiej, a więc musiał naprawdę istnieć.

X: Proszę pana, co pan sądzi o arystotelesowskiej teorii tragizmu?

Faulkner: Jaka to jest teoria?

X: Według Arystotelesa bohater musi być wywyższony, aby potem jego upadek był tym głębszy.

Faulkner: Nie sądzę, aby Arystoteles mówiąc o wywyższeniu miał na myśli coś czysto materialnego. Sądzę, że chodziło mu raczej o człowieka silnego charakteru niż wielkiego rodu. Czy pod wywyższenim rozumie pan urodzenie?... Mnie się raczej zdaje, iż pieniędzy, bogactw, tytułu używał Arystoteles tylko jako oznak wyższości wewnętrznej: od króla wymagamy przecież męstwa, od królowej — czystości obyczajów. Dla Arystotelesa tytuły były tylko symbolami. Tak więc tragedia, jak ją widział Arystoteles, jest — jak mi się zdaje — dziś jeszcze taka sama. W grę wchodzi wciąż ta sama koncepcja tragedii: kiedy czowiek chce być dzielniejszy niż jest naprawdę, wchodzi w konflikt z sobą samym, z ludźmi, z otoczeniem — i upada. A jego zewnętrzna świetność, gwałtowność upadku, rekwizyty stanowiska, oznaki królewskości — to tylko symbole dla przydania mu okazałości, aby był tym godniejszym wybrańcem bogów czy Olimpu. — Jeśli więc śmiertelnik sam tego nie może pojąć, bogowie są zmuszeni utrącić go.

X: Całe pana dzieło przenika temat klątwy, która ciąży nad Południem. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, na czym właściwie ta klątwa polega? I czy Południe ma jakieś możliwości uwolnienia się od niej?

Faulkner: Klątwa wiąże się z niewolnictwem, to stan nie do zniesienia, niegodny człowieka — i Południe musi uwolnić się od tej klątwy, i to mu się uda, byle mu dano czas. Nie może być do tego zmuszone. Musi osiągnąć to z własnej woli i chęci. I wierzę, że jeśli się je pozostawi w spokoju — osiągnie to.

X: Kto jest główną postacią w „Absalomie, Absalomie"?

Faulkner: Oczywiście Sutpen. Jest to historia człowieka, który chciał mieć synów i miał ich za wielu, tak wielu, że zniszczyli go. Zbiegiem okoliczności są to także dzieje Kwintyna i jego nienawiści do zła, które dzieje się w jego kraju. Ale główną postacią jest Sutpen, to historia człowieka, który chciał mieć synów.

X: W powieści „Światłość w sierpniu" porusza nas walka wewnętrzna i udręka głównego bohatera, Joe Christmasa, wynikające stąd, że uważa się za półkrwi murzyna, ale nigdzie nie jest wyraźnie powiedziane, czy tak naprawdę jest. Czy istotnie był on półkrwi, czy też jego usiłowania, aby dojść do tego, kim jest — mają tylko potęgować tragiczną ironię powieści?

Faulkner: Tragiczność jego polega na tym, że nie wiedział, kim jest. I dlatego właśnie był nikim. Z całym rozmysłem wyłączył się z kręgu ludzkości, bo nie wiedział, kim jest. Na tym polega jego tragiczność i to była tragiczna idea całej powieści. Nie wiedział, kim jest i nie widział przed sobą możliwości, by w życiu dojść do tego. Wydaje mi się to najtragiczniejszą sytuacją, w jakiej człowiek może się znaleźć — nie wiedzieć, kim się jest i zarazem zdawać sobie sprawę, że się tego nigdy nie dowie.

X: Czy przy nadawaniu imienia — chodzi mi o Joe Christmasa — miał pan na celu aluzję do Chrystusa?

Faulkner: Nie, chodziło mi po prostu o najskuteczniejsze środki dla wyrażenia tego, co miałem do powiedzenia. I tu wracam znów do tego, co już mówiłem, że jest niewiele schematów sytuacyjnych, tak że wcześniej czy później pisarz musi sięgnąć po takie, z których już korzystano. A historia Chrystusa jest jedną z najlepszych historii, jakie człowiek wymyślił, założywszy, że to człowiek ją wymyślił. I dlatego wciąż się do niej wraca. Tak robi każdy, kto przez chrześcijańskie wychowanie przyjął w siebie dzieje Chrystusa i jego męki. W „Światłości w sierpniu" nie miałem świadomego zamierzenia, by powtarzać tę sprawę. Dla mnie najważniejszą rzeczą są ludzie, symbolika jest drugorzędna.

X: Czy zna pan jakiś sposób na to, aby literat, który nie pisze tak jak pan, mógł znaleźć zadowolenie?

Faulkner: Nie myślę, aby pisarz w ogóle mógł kiedykolwiek znaleźć zadowolenie. Wtedy przestałby pisać. Może w ogóle człowiek nie jest zdolny do zadowolenia. Może to właśnie różni go od rośliny. Choć może i roślina nigdy nie znajduje zadowolenia. Może w ogóle nie ma czegoś takiego jak zadowolenie, może chodzi tu tylko o wartość negatywną.

X: Chodzi o spokój wewnętrzny?

Faulkner: No, wydaje mi się, że jedyny spokój, jedyne zadowolenie, jakiego człowiek doznaje, jest wówczas, kiedy na przykład możemy sobie powiedzieć: „Mój Boże, wczoraj było mi naprawdę dobrze".W danym momencie, wczoraj, byliśmy zbyt zajęci, aby to zauważyć. Dlatego zadowolenie jest raczej czymś, co dostrzegamy, patrząc wstecz, gdy podświadomość

(Dokończenie na str. 13)

„Wir Deutschen sind hier Herren"
czyli walka Hitlera z kulturą polską

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

WALKA hitleryzmu z polską kulturą odbywała się w różnych kierunkach. Przede wszystkim rozwinięta została szeroka propaganda wykazująca, że Polacy „nie zasługują na miano cywilizowanego narodu", jak mówił w Kaliszu gauleiter Albrecht w 1940 r. W „Almanchu" wydanym z okazji rocznicy powstania Generalnej Gubernii mamy efektowną parafrazę biblijną na wstępie rozważań o kulturze: na początku nie było nic — takie wrażenie odnosi się, gdy przyjeżdża się na Wschód. Ta sama myśl dominuje we wszystkich artykułach grudniowego numeru pisma „Das Generalgouvernement" z 1941 r., numeru, który jest próbą bilansu dwuletniej działalności Niemców. „Polskie jest w tym kraju jedynie gówno, wszy i złe drogi", powiada jeszcze w 1944 r. Frank do absolwentów partyjnego kursu. Dopiero Niemcy dokonali tu cudów — oczywiście dla siebie, zagrabiając wszystkie urządzenia i instytucje polskie.

Zasadą była totalna negacja wartości polskiej kultury: Nie omieszkano powoływać się przy tym na świadectwo samych Polaków. M. in. H. Dresher wygłasza 24.XI. 1941 r. odczyt „Die Polen über sich selbst" (Polacy sami o sobie), wydrukowany w 1943 jako broszura propagandowa. Na podstawie krytycznych artykułów w polskiej prasie okresu dwudziestolecia („Prosto z Mostu", „Myśl Narodowa", „Tęcza") autor podkreśla, że Polacy sami mówili o złej sytuacji w swym kraju. Dlatego Führer musiał podporządkować sobie ten obszar: Polacy sami dali Niemcom prawo, by kraj ten wziąć w opiekę. Führer przyszedł nas wybawić!

Równolegle z tą akcją starano się wykazywać wyższość kultury niemieckiej. Więcej — jeśli było w Polsce coś wartościowego, to zawdzięcza ona to kulturze niemieckiej. Prowadzono badania śladów niemieckiej kultury w naszym kraju i zorganizowano wystawę pt. „Germanenerbe im Weichselraum", której nadano wielki rozgłos i z którą jeżdżono po całym kraju. Na jej otwarciu Frank powiedział m. in.: „Już dużo wcześniej, to właśnie Niemiec był, który ziemi tej błogosławił danią swego ducha, swej sztuki i kultury". 20.IV.1940 Frank powołał do życia Instytut Pracy Niemieckiej na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit), który przejął Bibliotekę Jagiellońską oraz szereg innych bibliotek. Instytut wydawał swoje pismo „Die Burg". Istniało także wydawnictwo pełniące podobne funkcje — „Deutsche Kultur in Osten" a „Warschauer Zeitung" wydawała dodatek pt. „Niemiecki wkład kulturalny na Wschodzie".

Propaganda była jednak fasadą, obliczoną głównie na zagranicę, której opinię starano się kokietować. I tak np. Frank ubolewał, że profesorów krakowskich nie zlikwidowano na miejscu — nie byłoby rozgłosu i co za tym idzie — kłopotów. Ponieważ propaganda niemiecka oparta była „na prawdzie i rzeczowości", jak się wyraził szef prasowy GG Gassner, więc trzeba było dostosować do niej rzeczywistość. Przede wszystkim okupant zmierzał do zupełnej dezorganizacji życia społecznego i gospodarczego oraz do obniżenia stopy życiowej. Wartość wyżywienia Polaków wynosiła ok. 600 kalorii! (sprawozdanie dr Walbauma w 1941 r.). Jeśli Polacy będą zajęci troską o wyżywienie, nie będą zajmować się niczym innym, pouczał swych współpracowników Frank. Obok tego stosowano różne metody upodlania.

Jedną z najpotworniejszych akcji były plany wymordowania polskiej inteligencji. Już 12.IX.1939 r. w pociągu specjalnym Hitlera sprawy te zostały omówione. Następnie Frank zorganizował tzw. akcję AB, zreferowaną na posiedzeniu w sprawach policji 30.V.1940 r. Chodziło w niej o zniszczenie głównie „duchowych przywódców Polski". „Warstwy uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce należy zlikwidować, co znowu narośnie, należy wykryć i znowu w odpowiednim czasie usunąć". Zresztą zaraz po zajęciu kraju przede wszystkim uwięziono lub rozstrzelano różnych działaczy, nauczycieli, ludzi mających wpływ na swoje środowisko. Aresztowano profesorów UJ, potem uniwersytetu poznańskiego, lwowskiego... Aresztowań dokonywano na podstawie gotowych już list, przygotowywanych przez wywiad, V kolumnę...

Inną sprawą, jaką okupant przeprowadził zaraz po zajęciu kraju, było odcięcie Polaków od wszelkich wiadomości. Oto wytyczne Goebbelsa, przekazane dalej przez Franka 31.X.1939: „cała polska organizacja rozpowszechniania wiadomości musi być zdruzgotana. Polakom nie należy pozostawiać aparatów radiowych, lecz tylko czysto informacyjne dzienniki, żadnej prasy, która by wyrażała jakiekolwiek poglądy. Zasadniczo nie powinni mieć teatrów, kin i kabaretów, aby im nie przywodzić ustawicznie przed oczy tego, co utracili". Prasa nie mogła ukazać się żadna (dopiero później Niemcy wydawali tzw. „gadzinówki"), radia należało według rozporządzenia oddać już do 5.XI.1939. Instalowano tylko megafony. To pozbawienie informacji doprowadziło do zjawiska plotek, przepowiedni, pogłosek, które jak pisze Landau w „Kronice lat wojny i okupacji", „obiegają ciągle w ogromnej ilości, w takiej postaci, że trudno się zorientować, o ile są wiarogodne". „Ludzie zatracają przy tym wszelki krytycyzm. Jest to wynik naszego zupełnego odcięcia od świata", dopowiada Klukowski. Według rozporządzenia z 26.X.1939 r. wszelkie publikacje musiały otrzymać pozwolenie Wydziału Oświaty Publicznej i Propagandy. W rok później zakazano działalności wydawniczej oraz sprzedaży w księgarniach dzieł o treści światopoglądowej i politycznej. Równocześnie wydrukowana została „ściśle poufna" „Lista wrogich, szkodliwych i niepożądanych z punktu niemieckiego dzieł polskich", wraz z dołączonymi wytycznymi z datą 20.V.1940, podpisanymi przez du Prela. Bibliografia ta obejmuje nie tylko prace antyniemieckie, lecz także te, które „szukają polskich interesów" na niemieckich terenach (Śląsk, Pomorze, Poznań), utwory o Koperniku, Stwoszu, o Grunwaldzie, kilka dzieł Żeromskiego, Nałkowskiej „Granica" (!), Kochanowskiego „Proporzec", Rydla „Betleem polskie", Asnyka „Bracia Lerche", Sienkiewicz, Nowaczyński, Morcinek...

Mało tego. Książki takie należało oddawać, podobnie jak podręczniki, zwłaszcza historii i języka polskiego. Zdarzały się wypadki zabierania dzieciom podręczników w szkołach i palenia ich. Istniał też nakaz wycofania wszystkich takich książek z bibliotek publicznych: zdarzały się represje, zwłaszcza na ziemiach przyłączonych do Rzeszy, za posiadanie polskich „szkodliwych" książek w księgozbiorach prywatnych. Tolerowano jedynie książeczki do nabożeństwa. Nic więc dziwnego, że głód polskiej książki był ogromny i wypożyczano je sobie potajemnie z narażeniem życia.

W Generalnym Gubernatorstwie tolerowano biblioteki publiczne, natomiast wszystkie biblioteki i zakłady

(Dokończenie na str. 10)

ROMANÓW w Roku Kraszewskiego

ANTONI TREPIŃSKI

Co tobie po uznaniu,
po uwielbień szmerze?
To zostaw tym, co wszystko
wraz z oklaskiem tracą;
Ciebie wstająca Polska
w nowy blask ubierze,
Boś całe pokolenia
swą wychował pracą.

ADAM ASNYK,
„J. I. Kraszewskiemu", 1871

KTO tam widział tworzyć muzeum w jednym z najbardziej zapadłych kątów w kraju. Myśl skazana z góry na niepowodzenie. Tylko nieubłagani utopiści mogli wpaść na taki nieżyciowy pomysł. Ile to będzie kosztować? Szkoda każdego grosza.

— W tym wypadku trzeba by zacząć od wydania milionów na budowę nowoczesnej drogi, bo każdy kilometr porządnego gościńca kosztuje około miliona złotych. Nie ma pieniędzy na szosy ważniejsze pod względem gospodarczym, skądże by więc znalazły się na jakiś boczny odcinek, prowadzący przez las do spalonego dworu? Ależ do tego muzeum pies z kulawą nogą nie zabłądzi.

— Czy wiecie, że od najbliższego przystanku autobusowego dzieli tę miejscowość jeszcze 18 kilometrów? Na miejscu nie ma ani jednego aparatu telefonicznego i ażeby z niego skorzystać, trzeba drałować 4 kilometry do gminy lub poczty w Sosnówce.

— Z Lublina do Romanowa najkrótszą drogą przez Lubartów — Parczew — Wisznice jest 118 km. Na koniec nie uniknie się przez większą część roku wędrówki na piechotę, bo traktory z państwowego ośrodka maszynowego doprowadziły „trybę" do takiego stanu, że same grzęzną często w błocie. Jak wieść niesie, konie tonęły tu jednak notorycznie i dawniej.

— Kręty dojazd z Włodawy wynosi około 70 kilometrów; bliższy i prostszy jest on od strony Białej Podlaskiej. Toteż dzieci z okolicy Wisznic kształcą się w tamtejszych szkołach, jak za czasów Kraszewskiego.

— Jeśli ktoś wybiera się tutaj z Warszawy, to dostaje się gładko pociągiem pośpiesznym do Białej, w niespełna 3 godziny. Stamtąd autobusem do Wisznic, dokąd posyła się konie, dalej dojechać można też ewentualnie taksówką, razem około 50 kilometrów. Ale żeby dotrzeć do Romanowa lub wydostać się z niego, na to potrzeba dokładnie tyle czasu, ile przed półtora wiekiem.

— Czy nie byłoby racjonalniej powołać do życia muzeum w Białej Podlaskiej?

— A cóż tam się będzie wystawiać? Kto powierzy Romanowowi cenniejsze, oryginalne eksponaty? Czyż nie jest nonsensem ściąganie ich nawet z magazynów niedostępnych dla publiczności, z Muzeum Narodowego w Krakowie, Poznaniu, Warszawie, Lublinie, z bibliotek we Wrocławiu i Cieszynie, po to, żeby je wystawiać na głuchej wsi podlaskiej i żeby ludzie z tych miast tam jeździli je oglądać? Cui bono?

— Każdy muzealnik postawi znak zapytania nad kwestią celowości instytucji muzealnej i jej funkcji społecznej w takim miejscu. Postawić go musi nad przyszłością zbiorów, opieki nad nimi i ich fachowej obsługi, nad służbą codzienną instytucji, zarówno od strony wewnętrznej, organizacyjno-naukowej, jak i zewnętrznej, zwiedzających gości.

Takie głosy krytyczne w kołach rzeczoznawców najlepszej woli wywoływała uchwała Wojewódzkiej Rady Narodowej z dnia 18 grudnia 1958 r. w sprawie utworzenia Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie, ogłoszona w „Dzienniku Urzędowym WRN w Lublinie", Nr 2, z dnia 10 lutego 1959 r. Badacze pisarza, znawcy jego życia i twórczości oraz ikonografii, wreszcie muzealnicy, nie dodaliby nic do tekstu tej uchwały, ani nie ujęliby z niej jednego słowa, gdyby chodziło o sprecyzowanie celów i zadań instytucji wielkomiejskiej. Non plus ultra! Nie usłyszałem jednak żadnego słowa zachęty do współudziału w realizacji muzeum biograficzno-literackiego „w jakimś tam zakątku wiejskim".

DWÓR w Romanowie, gdzie wychowywał się J. I. Kraszewski w latach 1813—27, przebudowany po pożarze w 1858 r., spalony całkowicie w r. 1915 skutkiem działań wojennych, poszedł z dymem powtórnie w sierpniu 1943 r., podpalony przez partyzantów zmagających się z okupacją hitlerowską. Jakaś niemiecka jednostka wojskowa czy policyjna dociągnęła już wówczas druty telegraficzne do dworu. Rozeszła się pogłoska, że przeistoczony zostanie w bazę do walki z partyzantką. W nocy przyszli „chłopcy z lasów" i podpaleniem dworu być może ochronili wioskę od gorszego losu. Potem nastała tu zupełna cisza. Romanów został strącony stopniowo po obu wojnach na margines aktywizacji życia gospodarczego, zdystansowany przez Grabówkę, Sosnówkę, Wygnankę, Motwicę i inne wioseczki lub byle folwarki, które odgrywały niegdyś rolę drugorzędną w stosunku do niego, a z czasem go wyprzedziły dzięki uzyskaniu dogodniejszych połączeń komunikacyjnych.

Rysunek J. I. Kraszewskiego (Puławy)

Na miejscu przekonałem się jednak, że kulturę trzeba nieść nieodzownie tam, dokąd nie dotarła, i tym bardziej tam, gdzie została wstrzymana w rozwoju, bo istnieją tam dowodnie najwdzięczniejsze warunki do jej przyjęcia.

W przededniu otwarcia Muzeum J. I. Kraszewskiego zabłysło w Romanowie po raz pierwszy światło elektryczne. 24 chaty przyłączyły się skwapliwie do sieci. Na oścież otwarły się okna w chatach, gdzie zainstalowano głośniki radiowe. Jedna z wieśniaczek, do której trzeba by doprowadzić oddzielny kabel długości 600 metrów, ominięta tym dobrodziejstwem, zgłosiła się z reklamacją:

Jak to! To ja mam być pokrzywdzona, kiedy ja właśnie najwięcej bym wykorzystywała elektrykę do czytania? Ja, com była zawsze w porządku wobec państwa i pilnie płaciła podatki, miałabym być niesprawiedliwie potraktowana? Proszę i ja o prąd na warunkach ulgowych (nie kosztem sumy, za którą bym nowy dom postawiła, a na to mnie wcale nie stać). Weźcie pod uwagę, że prąd jest mi potrzebny nie tylko do żelazka elektrycznego, ale i do czytania Kraszewskiego.

Pierwsza petentka do muzeum. „Może by poparło tę moją prośbę".

Ludność ustosunkowała się do muzeum dosłownie jak do budowy świątyni. Nie darmo użyła tego określenia księżna Izabela Czartoryska w roku 1809, wobec przedmiotów ulokowanych w „świątyni pamiątek narodowych" w Puławach, pierwszym muzeum w kraju. Określenie to zrodziło się na tej samej Ziemi Lubelskiej. Dowodem węzłów serdecznych zadzierzgniętych z ludnością przez pracowników muzeum, może być zdarzenie autentyczne z uroczystości w dniu 28 lipca 1962:

Kiedy muzealniczka zatrudniona około ekspozycji w Romanowie zauważyła kwiaty w siwakach ustawionych na szafie z dziełami Kraszewskiego, nie przewidziane tam (w przeciwieństwie do dzbanów, gdzie umieszczono programowo gladiole, jako niezbędne elementy dekoracyjne, w hallu i paru innych punktach wystawowych) zawołała z gniewem:

— Kto to zrobił?

Myślała, że to jakiś współzawodnik z Lublina poprawił jej założenia ekspozycyjne. Zachodziła zresztą obawa, że woda w siwakach będzie przeciekała. Na ogromnej szafie bibliotecznej miała być tylko surowa ceramika. Ale kiedy się okazało, że to gospodyni ze wsi włożyła samorzutnie do wazonów kwiaty ze swego ogródka, uszanowano ten uczynek, dokonany w przypuszczeniu, że organizatorom zabrakło żywych ozdób.

To zaś, co nastąpiło bezpośrednio po otwarciu Muzeum J. I. Kraszewskiego przeszło oczekiwania organizatorów. Pod naporem tłumu walącego do gmachu leciały szyby w drzwiach i rozlegał się płacz dzieci. Ścisk zrobił się niczym pod kaplicą na odpuście (notabene jedyny zabytek architektury w Romanowie, to kaplica Malskich i Kraszewskich w parku przy dworze, w stylu klasycystycznym z około 1820 r., ocalała w stu procentach).

Do Muzeum zdążała w sobotę po południu ludność wiejska ze wszystkich stron. Przybywała w lwiej części indywidualnie, pieszo, wcale przez nikogo nie organizowana. Zjechało stosunkowo niewiele osób oficjalnych samochodami z Lublina i powiatu włodawskiego, gdyż uroczystość dla szerszego świata, w szczególności dla przedstawicieli nauki i literatury, przygotowywana jest na październik.

Z rodziny pisarza zebrało się 8 osób. Na zaproszenia Januszów Kraszewskich z Omszany, potomków Kajetana Kraszewskiego, najmłodszego brata pisarza, długoletniego właściciela Romanowa, przybyli: drugi jego wnuk, czyli syn Bogusława Kraszewskiego, Mieczysław, z żoną Anną z Górskich Kraszewską, zamieszkali w Strudze koło Wałbrzycha; wnuczka Kajetana, a córka Krzysztofa Kraszewskiego, Paulina Rościszewska, ostatnia właścicielka Romanowa, z synem Marcinem, geologiem i jego żoną Elżbietą z Warszawy; prawnuczka Józefa Ignacego po jego najstarszej córce Konstancji, Bolesława Ligowska, i voto Leonowa Piwińska z Warszawy.

(Z innych autentycznych potomków żyją: Stanisława Ewa Rakowska, wnuczka pisarza po najmłodszej jego córce Marii Auguście w Warszawie; prawnuczka w prostej linii, również po córce Marii „Tuni", Alina z Gawińskich Kamilowa Giżycka we Wrocławiu; prawnuczka po synu Franciszku i wnuku Kazimierzu Emanuelu, Krystyna z Kraszewskich Rybicka w Milanówku. Z bliskiej rodziny wymienić należy: Irenę z Pogorskich Kraszewską w Kielcach, wdowę po Józefie, wnuku pisarza a synu Franciszka Kraszewskiego; wnuczkę Kajetana, Marię z Kraszewskich Pruszyńską, siostrę Janusza i Mieczysława, będących we troje ofiarodawcami cennych pamiątek rodzinnych, przekazanych do muzeum w Romanowie).

Lubelszczyzna uczciła 150 rocznicę urodzin J. I. Kraszewskiego w sposób niezapomniany dla licznych uczestników uroczystości. Trwałą tego pamiątką pozostać ma nowo otwarte muzeum. Służyć ono będzie uczniom i profesorom, specjalizującym się w pracach nad Kraszewskim oraz ludowi polskiemu, doceniającemu prawdziwie jego imię, związane nierozerwalnie z Romanowem, jak i z całą ziemią i kulturą polską.

OD GODZINY 3 po południu do 8 wieczór i następnego dnia w niedzielę od godziny 10 rano zwiedziło Muzeum około 6 tysięcy ludzi. Niestety, nie podołali temu tłumnemu ruchowi organizatorzy (ze mną włącznie), z obsługą za pomocą słowa żywego, z informacją i oprowadzaniem gości po wystawie. Tłum płynął nieprzerwanie i rozpływał się bezładnie po pięciu salach parterowych, korytarzach i parku i byłby zaglądał do wszystkich zakamarków, gdyby jeno były dostępne; chwilami wydawało się, że byłby wszystko rozniósł, gdyby los nie sprzyjał imprezie. Czując się współodpowiedzialny za eksponaty, stanowiące własność publiczną, drżałem na myśl, co zastanę nazajutrz po otwarciu na „pobojowisku". Ani jeden przedmiot nie zginął! Żaden spośród 1500 eksponatów nie ucierpiał. Nic złego się nie stało, chyba tylko to, że zapomnieliśmy umożliwić, przez publiczne wyłożenie księgi pamiątkowej, wszystkim uczciwym ludziom, tak miłym i łaskawym, uwiecznienie się własnoręcznym podpisem.

(Dokończenie na str. 7)

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI — „KRASZEWSKI W LUBLINIE"
Obraz ofiarowany przez społeczeństwo lubelskie w 1879 r. J. I. Kraszewskiemu (oryginał znajduje się w Muzeum Narodowym w Poznaniu, kopia — w Romanowie). Wśród postaci na pierwszym planie mały chłopiec czytający list — to sam pisarz.

OGRÓD NIELSA BOHRA

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

A WÓWCZAS mnich Autobussim zwany krzyczał „Bogucin" codziennie o szesnastej trzydzieści. Dlaczego mnich, skoro był zwykłym konduktorem. Słowo mnich ma w sobie pewien pierwiastek sacrum. A niewątpliwie umiał on właściwie ocenić piękno i nadmiar świata.

Również przestrzegał przepisów. Są zwodliwe i pełne przeróżnych przepaści. Władze kuszą, zostawiają szeroki margines dla tolerancji, cierpień i namiętności zwyczajnych każdemu człowiekowi. Konduktor skrupulatnie wydawał resztę, przecinał bilety we właściwym miejscu, nie tak jak jego poprzednik. Nieubłaganie wywoływał przystanki. Drżały przed jego głosem wiejskie kobiety, które chciały jechać dalej. Wykupywały bilet tylko do następnego przystanku, myśląc o zaoszczędzonych pieniądzach, ale zawsze konduktor dopilnował, żeby wysiadały nie tam, gdzie chciały. Miał wówczas minę moralisty i mówił: „Chciwość nie popłaca".

Właściwie to autobus przyjeżdżał do miasteczka o siódmej rano. O szesnastej trzydzieści kończył się codzienny odpust i ludzie wracali ufni, spokojni. Autobussi chciał zabierać ich zupełnie za darmo, nikt się nie kwapił, on nie mówił o swoich pragnieniach. Kobiety nauczone przykładem rannym unikały autobusu, mężczyźni nie mieli już pieniędzy, odpusty kosztują.

Nikt się nie domyślał, a słowa konduktora uważano za pomyłkę. Chciał być dyskretny. Niespełniona dyskrecja osiadała na jego twarzy prawie jak kurz.

Można zawsze witać i żegnać Bogucin, ale zaważa się już w Lasku Boguckim niepospolitość miasteczka. Tutaj mieszka ogrodnik. Cóż wiem o nim? Mogę tak, jak to czynią inni, wycinać dziury w żywopłocie, niepotrzebnie i tak nigdy nie dotrę w jego życie. Ogród-pozór. Myśl ogrodnika rozkwita w gwiazdach. Wczoraj żona, skąpa jak wszystkie kobiety w okolicy, znowu wyrzuciła zwoje papieru. „Trzeba podjąć na nowo właściwą pracę. Udawać pilnowanie kwiatów, warzyw, uli. To są przyziemne zajęcia. Przeszkadzają w obliczeniach. Wczoraj dokładnie udało mi się naszkicować paralaksę Wenus. Przyjdzie czas, gdy obliczę wiek ziemi przy pomocy współśrodkowości orbit Merkurego i Wenus. Niech chowa, niszczy. Jutro w mieście kupię nową tabliczkę, nowy rysik. Będę ostrożniejszy. Zeszyty schowam, to ja po raz pierwszy schowam."

— Macieju, nie macie, Macieju, róż?

Pójdę po nie, jeszcze jedna okazja, żeby wyciągnąć zeszyty.

— Bo takich róż nigdzie nie dostanę.

„Dziesięć groszy wezmę więcej, atlas się kupi duży z podziałem na lata gwiezdne, zakopię te dziesięć groszy w ogrodzie. Niucha stara, całe szczęście, że pieniądz nie pachnie, ona nawet wyczuje inny zapach róż zaniedbanych, a jaką pamięć ma, mogłaby się nauczyć sześciocyfrowych tablic logarytmicznych."

Nasjała wiosna! Jakby szyby stłukło w cieplarniach! Mniej klientów. Dla Macieja nie było rzeźkich poranków, którymi obdarzamy swoje oczy. Zaniemo obcy szmerom motyli, rosie i mgle ponad rzeką, która jednak odciśnie swój kształt na kretowiskach, odsypiał nieprzespane noce. A baba mruczała. „Nie dość to leniuchów na świecie". Już wykresy nachodziły na siebie. Do trzech zliczyć nie umie.

Niszczyła, gdy spodziewał się skończyć, gdy już koperta z adresem Instytutu była wypisana. Ogrodnik bynajmniej nie utonął w gwiezdnej abnegacji. Prawda, wdrapywał się na drzewo, tam całe noce spędzał. W czasie dojrzałych owoców, letnią pełnią umiał się posłużyć. Każdy szmer z niej wyłowił.

Daremnie czekali przed płotem. Zmowy, szepty, pożądliwe spojrzenia docierały szybciej od nich. Nawet baba umiała docenić czujność ogrodnika:

„Na andrusa to on ma ucho."

Czuwanie nad całością ogrodu Maciej zręcznie polecał Burkowi. Umiał psa zachęcić. Przekonać, że podział pracy jest właściwy. On strzeże gwiazd, mienie to Maciejowe, pies niech pilnuje, aby jabłek niczyja ręka z drzew nie strącała.

„Szukaj, szukaj!"

Oni niezręcznie jak powój próbowali się wspinać. Gdy tylko zdołali przewiesić nogi przez mur, pies wyskakiwał. Towarzyszył mu cichy głos:

„Nie daj ruszyć, Burek!"

A właściwie to niepożądanych gości wyczekiwał, żeby nieruchomieli słysząc jego głos, zastanawiali się, w którym kącie sadu teraz przebywa. Dzięki nim rozumiał troskę i prawdziwe przewidywanie, potrzebne przecież w astronomii.

Oto świt wysączył wszystkie gwiazdy, a ptasia krzątanina dopiero teraz nabiera sensu, bo ona nabiera całego sensu, prawie jak krople rosy, jest zamknięta przepowiednią własnego kształtu. Minie, nawet pies wyczuwa już południowe słońce, dlatego pręży grzbiet, ogrzewa się widzialnym ciepłem dojrzałego sadu.

„Jaki sens mają pory roku tutaj na ziemi, skoro są one wyznaczone przez gwiazdy, skoro ledwie dotykają ziemi, a właściwie pory roku są na przecięciu wielu krzywych, piesku, pieseczku."

Właśnie rankiem odbywa się ich codzienna zmowa, przygotowanie do nowego czuwania.

Strąca owoc. Pies nie szczeka. Jabłko spada szerokim łukiem na ziemię. Zapewne tak spadało w czasach Newtona, odwrotnie proporcjonalnie do siły psa.

Jego spadanie, zakończone odgłosem przypominającym stukot drewniaków na ulicach wyludnionego miasta, trwa, ruch zostaje przekazany trawom, kto wie, czy ich szelest nie obudzi jakiegoś czysto powietrznego chrząszcza.

Pełno ich w trwającym powietrzu. Kiedy minie ono, kto z nas podejmie owoc bez powietrza i rozważy wszystko. Ci z miasta nie są zdolni do czynów, mają swoje kłopoty.

PO bezpośrednim zapomnieniu ogrodu nadchodzi miasto. I jest jak wizja katatonika; pozornie nieruchome, przyjąwszy tezę o istnieniu całości świata nie można zanegować miasta.

Na przedmieściu stoi świątynia pod wezwaniem Pawła. Żebraczka nie akceptuje imienia, ona też wzywa, nie wzywa — wywołuje, rycerzy fortuny, bardów jej głos może przypominać, chociaż mniej donośny, /matowy, bez cienia emocji. Oto woła co łaska, nie dodaje innych słów, nie dostaje. Jednak woła tak, jakby przy stworzeniu świata kazano wołać wszelkim stworzeniom, a ustanie ich głos w dniu zagłady, jeśli usta znikną, rąk nie będzie. To spojrzenie moralisty na żebraczkę. Analogia między żebrakiem i moralistą poczyniona, już w najstarszych księgach wyrażona słowami: „oto, żebrak stoję przed obliczem Twoim." Analogia wyraźna wówczas, gdy stoję przy niej. Widzę okulary duże i znika w nich twarz, oczy. Dlatego można ją uważać za ułomną. Pęka analogia; ludzie domagają się od żebraka ułomności, moralista powinien być niezłomny. Jak książę. Żebraczka wokół siebie gromadzi bogactwo skojarzeń. To jest spojrzenie Freudysty. Kolej na inne spojrzenie. Żebraczka zasłania kościół. Ustalisz miejsce, z którego trzeba patrzeć i nie widzisz świątyni, tylko żebraczkę. Ale świątynia istnieje, znasz ją. To jest spojrzenie malarza. Nigdy spojrzenia nie wyczerpią rzeczywistości, zawsze zostaje coś dla nas.

Za świątynią Pawła są pierwsze domy, pierwsze to znaczy domy najbardziej szlachetnych — najbogatszych obywateli. I tutaj zaczyna się główna ulica. Jej centralny punkt stanowi szkoła. Tuż przed szkołą ulica przybiera postać chodnika i to jest jedyny chodnik w mieście. Jego niezwykłość potrafili docenić strażacy, stąd wyruszają na połów ognia. Czerwone dłonie strażaków. Złote kaski strażaków, słońce zstępuje na ziemię. Ale strażacy chodzą po ziemi, po jej kwiecie, po chodniku. Nigdy nie wychodzą poza chodnik, chyba że pożar wywoła ich w głąb nie pokrytych chodnikiem terytoriów. W okolicy rzadko pokazuje się ogień, więc strażacy mają ten obowiązek, żeby chodzić. Od czynności, którą uprawiają, pielęgnują, wywodzi się nazwa chodnik czyli obiekt zakryty chodzeniem strażaków.

I śpiewają:

„Czy będzie pożar, kto to wie,
ale wygodnie chodzi się."

I wymachują rękoma. I wszystko jak na dzień świąteczny jest przygotowane: konewki z wodą, woda wypróbowana w najbardziej rozszalałych pożarach, mundury, rękawice. Jeden z nich nie chodzi po chodniku, on zbiera skrzętnie wyrzucane przez pewnego dziwaka zapałki. Skoro tylko otworzą trafikę, dziwak ów lokuje się na ławce w pobliżu szkoły. Idzie do trafiki, kupuje całą paczkę zapałek, zapala papierosa, a pozostałe zapałki rozsiewa po okolicy. Wyznawcy teorii samorodztwa wielokrotnie już składali petycję, przerażeni obawą superpożaru, i dlatego władze poleciły strażakom czuwać. Do czuwania wytypowano jednego spośród nich o najbardziej bystrym spojrzeniu. Dziwak rozsiewa codziennie około piętnastu paczek zapałek. Tak jak strażacy, lubi śpiew i przysłuchuje się dźwiękom ze szkoły. Codziennie dwie klasy pod batutą nauczyciela wykonują starą pieśń:

„W krwawym polu srebrne ptaszę,
poszli w boje chłopcy nasze."

Złośliwi uczniowie powiadają, że to jest pieśń o wagarowiczach, którzy wszczynają bójki przy okazji zabawy w Indian.

Nauczyciel wierzy, że to jest pieśń o patriotach, a ci dawnymi laty częste boje staczali. Ta pieśń ma przypomnieć młodzieży, tradycję jej podsunąć, zachęcić. Bo rekrutacja do chóru zasługuje na uwagę. Nauczyciel wie, że pieśni, które on zna, mogą śpiewać wszyscy, przeto nie baczy na uzdolnienia muzyczne. Każdy ma głos. Tylko w jednym drzemie on głęboko ukryty w czeluściach krtani, inny ma go na ustach.

Śpiewający musieli wcześniej wstawać, przeto bardziej zapobiegliwi udawali sepleniących, wkładając w nos liście tytoniu. Tych nauczyciel wyrzucał. Często powiększali szeregi wagarowiczów. Ci właśnie ogrodnika utrapieniem byli, a w dialektyce miasteczka mistrzami pierwszymi.

Najczęściej swoje upodobania zmieniał ogrodnik. Widząc bezowocność obliczeń i paralaksy, uciekając ze strachu przed staruchą, zajął się teorią komplementarności zjawisk. Czasy do tego czynu dojrzały. W ogrodowym cieple ich miły dźwięk trwał. Żonę oszukał. Przyniósł do domu książkę „Ogród Nielsa Bohra". Rok urodzajny stworzył pozory, że dzięki lekturze nastały lepsze plony. Prosiła codziennie: „Czytaj, czytaj." Często zwodzi nas nazwa odpowiednio nadana rzeczy, gdy w nas tej odpowiedniości nie ma.

„Co to jest antymateria, kiedy znajdą wreszcie własną antymaterję, każdemu zjawisku towarzyszy przecie zjawisko, śpiew dopełnia się w bezgłosie, mur w cieniu własnym rozkwita, nie ma żadnych prawd wiecznych, szkoła kopenhaska, nawet książę de Broglie nie znalazł żadnych argumentów, a przecież jest jednym z najlepszych fizyków świata. Gdzie jest mój antyogród bez staruchy niszczącej wszystko? Jakżeż inaczej można uszeregować pierwiastki, izotopy i izobary, wsłuchane w prawa Nielsa Bohra, księcia fizyków, aż kiedyś może one wyzwolą największą energię, słońce w naszych rękach. Niepotrzebne kaski strażaków, pieśń i wagarowicze utrapieńcy. Do diabła z różami, mojemu ogrodowi patronuje Niels Bohr, najlepszy ogrodnik świata, moje dochody oblicza cevy-levity, a nad jabłkami czuwa Einstein."

Ogrodnik uczył się fizyki, ciężar myśli zmieniał w energię sformułowań.

Kiedyś Autobussi przywiózł do miasteczka jakiegoś dziennikarza ze stołecznych pism. I on odkrył światu tajemnicę istnienia ogrodnika. Nazwa genialny samouk przyjęła się, a z Instytutów przyszły listy. Sam ogrodnik empiryk, jak wszyscy jego bracia, chciał zobaczyć własny antyogród, wytężał wzrok, dostrzegał tylko zakradających się po jabłka, psa, i szum drzew. Czy dzień, który nadszedł, spełnił jego życzenia? Ogród zatrząsł się, gdy na niebie huczały ciężkie maszyny, strażakom wyparowała woda, nawet dojrzałe owoce spadły z drzew, zapadł się chodnik i ustały śpiewy. „Co to, co to?" — pytała starucha. Samoloty. Ludzie wybiegli z miasta na pobliskie łąki. Niektórzy w nocnych koszulach. Bomby zagłuszyły świerszczowe granie i jakby gwiazdy spadały z nieba, jasno było na ziemi.

Nagle wybuchły czeluście pod ich stopami. Starucha zniknęła, a po paru minutach nie było Burka. Może gdzieś pobiegł. „Piesku, pieseczku. Czy zapobiegniesz wyprawom czy dopilnujesz owocu, który spadł?"

* * *

MAMY wariata. Szybko zarzucono kaftan. Obezwładnionego nieśli w kierunku samochodu.

— Ludzie, co wy robicie, a bo to zawadza wam. Gada, niech sobie gada. Nieszkodliwy.

— Od dziesięciu lat codziennie przychodzi tutaj. Moja znajoma dostała ataku histerii. Na murze sąsiedniego bloku wypisywał jakieś wzory, cyfry, abrakadabry.

— On nie jest wariatem. Trochę bzika ma, tak jak wszyscy.

— Jeszcze przed wojną interesował się fizyką.

— Nie wiecie, toż to Niels Bohr.

— Chamy czepiają się człowieka.

— I słusznie, opiekę mu dadzą. Może wyzdrowieje. Przynajmniej od dzieci go uwolnią, rzucają w niego, gałgany. Swojemu zakazałam. Ale inne matki śmieją się, gdy ich pociechy trafią starca kamieniem.

Głosy narastały, ich treści sprzeczne jednoczyły się w dźwięku. Ważne są fizyczne aspekty zjawiska. Drzewa szumią inaczej. Ogrody kwitną w coraz innych miejscach i nie można przeprowadzać jakiejkolwiek analogii.

CO ROBIĄ PLASTYCY RZESZOWSCY

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

WYSTAWA CEZAREGO KOTOWICZA

CEZARY Kotowicz, urodzony w 1934 r, studia artystyczne odbył w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1951—1958. W roku 1956 zorganizował z innymi studentami Akademii Sztuk Pięknych grupę twórczą tzw. „Grupę XIV". W latach 1957—1962 był nauczycielem rysunku, malarstwa i wiedzy o sztuce w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. Brał udział we wszystkich wystawach „Grupy XIV", w Wystawie Młodej Plastyki w Krakowie, w Wystawie XV-lecia w Warszawie, w wystawach rzeszowskiego Oddziału ZPAP w Rzeszowie, w wystawie retrospektywnej rzeszowskiego Oddziału ZPAP w Rzeszowie w wystawie rzeszowskiego Oddziału ZPAP w Krakowie. W 1961 r. miał wystawę indywidualną swych prac w Domu Plastyków w Krakowie i w lokalu Centralnego Biura Wystaw Artystycznych w Zakopanem. Obecnie (sierpień—wrzesień 1962) ma wystawę indywidualną swych obrazów i rysunków w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie.

Prace Cezarego Kotowicza znajdują się w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Cezary Kotowicz należy do grupy najbardziej twórczych malarzy rzeszowskiego środowiska. — Jest artystą, dla którego sztuka jest koniecznością, wypływającą z potrzeby tworzenia. Nie rozstaje się on nigdy ze szkicownikiem, malarstwo jest dla niego sprawą dnia powszedniego; w codziennym szukaniu odkrywa kształt świata widzianego własnym, osobistym spojrzeniem. Obrazy swoje maluje długo, szukając najpełniejszej formy dla wyrażenia zamierzonych treści, wraca do nich po latach, by wciąż na nowo pracować nad nimi. Sam projektuje ramy do swych obrazów, aby w sposób najwłaściwszy zamknęły kompozycję.

Zgromadzone na wystawie prace pokazują chronologicznie drogę rozwoju artysty. Od prac bardzo realistycznych o charakterze studyjnym, w sposób niejako epicki opowiadających o rzeczywistości, przechodzi do ujęć bardziej syntetycznych, w których dramatyczność spięć odgrywa główną rolę, w których abstrakcja pojęć wyraża się jednak bliskim i materialnym konkretem. Artysta szanuje przedmiot, traktuje go niejako z pietyzmem, chociaż w późniejszych obrazach staje się on już tylko symbolem. Obrazy Kotowicza nasycone są treścią, posiadają podteksty. Środki malarskie wydobywają treści istniejące jakoby poza płaszczyzną płótna.

I tak np. „Pejzaż z pociągami" jest nie tylko zestawieniem barw i form, czy wreszcie czterech konkretnych pociągów pędzących w feerii błękitów i różów wprost na widza; jest jakąś apoteozą ruchu i pośpiechu — rozedrgane plamy barwne stwarzają nastrój niepokoju, nastrój wędrówki niewiadomej i równocześnie pełnej nadziei.

Nie wiem, jakie myśli towarzyszyły twórcy przy powstawaniu jego dzieł. Każdy z odbiorców zapewne będzie doznawał nieco odmiennych wrażeń. Wszak odbieranie dzieła sztuki zależne jest nie tylko od bezwzględnej jego wartości, ale również i od psychiki odbierającego. Jednakże siła oddziaływania obrazu jest chyba miernikiem jego wartości. Obraz nim „zmaterializował" się na płótnie powstał najpierw w psychice artysty. W obrazie zatem powstaje część człowieka, pozostają jego myśli, wzruszenia, pozostają jego odczucia. W trudnym i skomplikowanym procesie tworzenia obraz nasiąka ludzkim przeżyciem.

(Dokończenie na str. 11)

Fot. E. Hryniewiecki

Goniądz

Gdzie Rzym, a gdzie Raczki?

STANISŁAW ŚWIERAD

OSTATNIO mówi się dużo o architekturze. Czy budować wieżowce? A może tylko budynki liczące najwyżej cztery piętra? Jak rozwiązać układy komunikacyjne we współczesnych miastach? Pytań, wokół których skupia się dyskusja, jest wiele. Cieszyć się należy, że za dyskusjami idzie również realizowanie ciekawych projektów. Nowa architektura wyszła spoza rogatek stolicy i wkroczyła do mniejszych miast — wojewódzkich „metropolii".

A co się dzieje w miastach powiatowych, miasteczkach i na wsi? Przecież takich miast mamy najwięcej w kraju, znacznie więcej niż wojewódzkich „metropolii". Czy i w nich można dostrzec jakieś zmiany? A jeśli tak, to czy rozwijają się one prawidłowo? Właśnie na te pytania chciałbym odpowiedzieć w swoim felietonie. Zdaję sobie sprawę z tego, że wiele stwierdzeń będzie nosiło charakter subiektywny, dyskusyjny.

W miastach powiatowych i miasteczkach Białostockiego buduje się znacznie mniej aniżeli w samym Białymstoku. Najżywszy ruch budowlany obserwujemy w tych miastach, które mają w pewnym stopniu charakter ponadpowiatowy, szczególnie w Łomży, Augustowie, Suwałkach i Zambrowie (kombinat włókienniczy). Do najbardziej zaniedbanych należą miasta nie będące siedzibą władz administracyjnych, a legitymujące się wieloletnią historią (Suraż, Knyszyn, Drohiczyn i wiele innych).

Nie mam zamiaru rozstrzygać kwestii, dlaczego budujemy jeszcze grubo mniej niż nakazywałyby istniejące potrzeby, dlaczego niektóre miasta korzystają z pewnych przywilejów — to osobna sprawa. Ale czy te nieliczne budynki (nie tylko mieszkalne) powstające w miastach powiatowych i miasteczkach czynią piękniejszą ich sylwetę plastyczną?

Wydawać by się mogło, że odpowiedź na to pytanie powinna być pozytywna. Wszystkie przecież miasta w Białostockiem otrzymały plany urbanistyczne, przewidujące planową ich zabudowę. Teraz rzeczą architektów powiatowych i władz budowlanych jest tylko czuwanie nad tym, aby postanowienia planów zagospodarowania przestrzennego były przestrzegane przez tych wszystkich, którzy przystępują do stawiania nowych budynków.

Niestety jednak nie zawsze praktyka musi być zgodna z najsłuszniejszą nawet teorią. Okazuje się, że większość budynków stawia się według projektów typowych, znajdujących się w aktualnych katalogach. Owszem, nie są to najgorsze projekty, ale rzecz w tym, że wszystkie wykonane zostały w pracowniach projektowych spoza województwa białostockiego. Tylko jeden projekt typowy domku jednorodzinnego dla małych miast opracował miejscowy architekt (inż.-arch. Michał Bałasz z „Inwestoprojektu")

I jak w tej sytuacji mówić o tym, aby powstające w małych miastach budynki (najczęściej są to domki jednorodzinne) harmonizowały z krajobrazem, nawiązywały do regionalnej architektury ludowej, uwzględniały specyfikę (klimatyczną, demograficzną itd.) Białostocczyzny? To samo dotyczy budownictwa wiejskiego, chociaż na szczęście ostatnio zatwierdzono jako typowe dwa projekty białostockich projektantów (pierwsze w historii!).

Nie można zgodzić się z tym, by dla województwa białostockiego lub lubelskiego projektowano budynki na Śląsku, w Krakowie czy Warszawie Bo jakie to ma skutki? Wystarczy pojechać do któregokolwiek z małych miast i naocznie się przekonać o tym, jak wyglądają nowe domy stawiane według projektów typowych (importowanych).

Jak można pozwolić, aby w Augustowie czy Olecku budowano pseudowille żywcem skopiowane z podwarszawskich miasteczek — Piaseczna, Grójca i Wołomina? A właśnie tego typu budynki najczęściej stawia się w małych miasteczkach. Weźmy takie Kolno lub Łomżę. Czy w tych miastach nowe budynki nie powinny nawiązywać do elementów architektury ludowej regionu kurpiowskiego? A co tam się buduje? Takie same domy jednorodzinne jak w Legionowie koło Warszawy, w Bochni koło Krakowa (stąd niedaleko do Kłaja) i Ligoty koło Katowic.

Architektów powiatowych nie obchodzi to, jaki budynek dany obywatel zamierza sobie stawiać, jak budynek ten będzie wyglądał w nawiązaniu do ogólnej sylwety plastycznej miasta. On zwraca uwagę, aby to był projekt typowy. A jeśli typowy — to zatwierdzony przez władze centralne. Jest to rzecz jasna, najwygodniejsze, bo później nie ponosi się żadnej odpowiedzialności. Plan zagospodarowania przestrzennego respektuje się tylko pod jednym względem: gdzie powinny powstawać nowe budynki. Żadnej uwagi nie zwraca się na to, jak mają wyglądać te nowe domy.

A budynki stawiane przez rady narodowe i instytucje państwowe i spółdzielcze? Cóż, rady narodowe zgodnie z wytycznymi władz zwierzchnich mogą (po otrzymaniu odpowiednich funduszy) stawiać tylko budynki wysokie. Nie ma w Białostockiem miasta, które nie mogłoby się teraz pochwalić nowoczesnym(?) blokiem mieszkalnym. Celowo postawiłem po słowie „nowoczesny" pytajnik. Brałem udział ostatnio w dyskusji w środowisku architektów, w której zastanawiano się nad tym, czy nie korzystniej byłoby zamiast dużego pseudonowoczesnego budynku 5-piętrowego stawiać kilku mniejszych domków cztero- i pięciorodzinnych.

Zostawmy ten problem dalszym dyskusjom. Faktem jest jednak, że nowoczesność małego miasta nie polega chyba na wybudowaniu jednego czy pięciu budynków wysokich (często bez wody i kanalizacji — Gródek, Szczuczyn), mających do towarzystwa parterowe chałupki — murowane i drewniane, które długo jeszcze będą egzystować. Kilka słów chciałbym poświęcić modnym w ostatnim czasie pawilonom oraz szklano-stalowo-betonowym budowlom.

Przyznam się, że ze zdumieniem oglądałem niedawno projekt wiejskiego domu towarowego, który ma być wybudowany w małej i biednej mieścinie koło Suwałk — w Raczkach. Owszem, projektowi jako takiemu nie można nic zarzucić. Czy jednak budynek, który nie raziłby w Białymstoku, a może nawet i w Warszawie — i posiadający niewątpliwie cechy oryginalnej i nowoczesnej architektury — będzie pasował do Raczek? A jak się dowiedziałem, w innych miasteczkach również ma się budować, a nawet już się buduje, podobne „szklane domy".

Chyba nowoczesność miast powiatowych i miasteczek nie powinna polegać na lepszym czy gorszym małpowaniu architektury budowli powstających w Paryżu czy w Rzymie. Bo gdzie Rzym, a gdzie Raczki? Chyba wielki pisarz marząc o „szklanych domach" w swojej ojczyźnie nie miał na myśli pseudonowoczesnych willi, bloków, pawilonów i pseudopałacyków, ale budynki, w których ludziom ubogim dostatniej by się mieszkało.

Bo trudno mówić o tym, że takie Raczki lub Knyszyn mogą kiedyś zrównać się ze wspaniałymi metropoliami znad Sekwany i Tybru. A przynajmniej — ze stolicą województwa. I nie w tym kierunku powinny pójść wysiłki zapobiegliwych i ambitnych ojców małych miasteczek. Koniecznie należy pomyśleć o tym, jak budować taniej, skromniej, ale z głową i jakimś poczuciem... piękna. To, co wybudowaliśmy i budujemy w małych miastach, nie ma nic wspólnego z pojęciem nowoczesności w architekturze i urbanistyce.

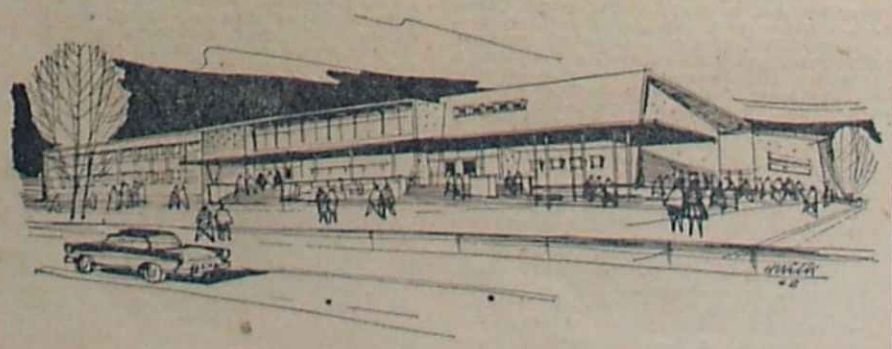

H. Wilk — Projekt domu towarowego

INTELIGENCJA na wsi

JACEK WOJCIECHOWSKI

KIEDY kluby inteligencji wiejskiej przemianowano na kluby dyskusyjne, zlikwidowano tym samym niezręczną sytuację, chociaż zmiana nazwy nie przyniosła żadnych istotnych przeobrażeń. Ale odtąd na kawę, brydża, czy dyskusję może sobie pójść kto tylko zechce, czego nie gwarantowała poprzednia nazwa. Nieufność budził termin „inteligencja" i każdy młodzieniec dumał, niczym Hamlet: Jestem inteligentem czy nie? Dla pewności wolał nie wchodzić, bo a nuż wyrzucą, więc czwartych do brydża brakowało.

Mówiąc „inteligencja" mamy na myśli warstwę ludzi wykształconych, którzy posiadają pewne umiejętności, a więc w praktyce zaliczamy tu ludzi z maturą i wyższymi studiami, lecz kryteria nie są zbyt ściśle wyznaczone. Z tą właśnie warstwą społeczną wiążą się nadzieje postępu na wsi. Najistotniejsze są oczywiście wysokie kwalifikacje fachowe, nie mniejszą wagę ma jednak oddziaływanie na całe społeczeństwo, co właśnie na wsi nabiera szczególnego znaczenia. Potrzebna jest tu inteligencja aktywna, pomagająca przy szerzeniu kultury i oświaty, jej udział w życiu środowiska determinuje jego poziom kulturalny. Przecież nawet kilkunastu magistrów we wsi nie jest symptomem rozwoju kultury, jeżeli zasklepiają się oni we własnych problemach, nie wyjdą poza swoje prywatne kłopoty.

Z drugiej strony byłoby nonsensem twierdzić, że aktywność inteligencji błyskawicznie zaradzi wszelkim kłopotom prowincji, to nie jest cudowny balsam, leczący zacofanie. Ludzie ci stanowią zresztą zbyt mały odsetek społeczeństwa wiejskiego, w czym zaznacza się wyraźnie różnica między miastem a wsią. Przykładowo: jeśli w roku 1958 w samej stolicy ludzie z wyższym wykształceniem stanowili 6%, a ze średnim 9,1% mieszkańców, to w województwie warszawskim (wobec braku większych miast) było 0,3% magistrów i 1,3% absolwentów liceów. W Krakowie 5% magistrów i 7,3% maturzystów kontrastowało z 0,3% magistrów i 1,6% absolwentów liceów na terenie województwa krakowskiego. Lubelskie miało 1% absolwentów wyższych uczelni i 3,4% maturzystów. Pomimo to wiążemy z tą warstwą spore nadzieje, myśląc o dalszym rozwoju wsi. Jesteśmy optymistami w każdej sytuacji.

Kim są ci ludzie? Grupę najliczniejszą stanowią oczywiście nauczyciele, bowiem szkoła to najczęściej spotykana instytucja na wsi. Tu zaczyna się wpajanie elementów wiedzy potrzebnych człowiekowi, dochodzi do pierwszego kontaktu z kulturą. Wyniki długoletniej pracy szkoły nie zawsze są olśniewające ale przecież sam program daleki jest od ideału, a warunki jego realizacji nie do pozazdroszczenia. Praca na dwie zmiany wciąż się jeszcze zdarza, a frekwencja uczniów zależy od prac polowych.

— Nie nauczyłek sie o Mickiewiczu, bo tato kazali zimioki kopać — kto sprosta takiemu argumentowi?

Nauczycielstwo chętnie propaguje kulturę, bierze na siebie różne obowiązki, przy czym bardzo często bezpłatnie. Nauczycielki prowadzą biblioteki, świetlice, punkty biblioteczne, organizują wykłady, dyskusje, na wywiadówkach poruszają przy okazji sprawy kultury. Kiedy oblicza się godziny ich pracy, skóra cierpnie. W szkole sześć godzin, w bibliotece cztery, posiedzenia rady gromadzkiej, rady pedagogicznej, przygotowanie się do lekcji, poprawa zadań. A tu jeszcze trzeba nakarmić męża i kury, wydoić krowy. Po co te krowy? Ano wstyd powiedzieć, ale pobory niższe od nauczycielskich mają tylko bibliotekarze. A z czegoś trzeba przecie żyć.

Nauczyciele stanowią najlepszą kadrę działaczy kulturalno - oświatowych, ale zdarzają się wyjątki. Niektórym długoletnim oświatowcom wiejskim te właśnie krowy i kury przesłoniły istotne problemy, nie potrafią teraz wyjść poza własne zgryzoty. Osobny problem stanowią młodzi nauczyciele. Po wyższych studiach na wieś mało kto zawędruje, częściej po maturze, toteż przygotowanie do zawodu pozostawia czasem wiele do życzenia. Kiedy po lekcjach młodzież wychodzi z mocno czerwonymi buziami, bo „pan zbyt mocno argumentował", jesteśmy pewni, że tu kultura nie znajdzie sprzymierzeńca.

Znacznie mniejszą grupę stanowią etatowi działacze kulturalno - oświatowi, a więc bibliotekarze, kierownicy kin, świetlic, domów kultury. Szerzenie kultury wynika z ich zawodu, ale wielu nie poprzestaje na „odfajkowaniu" roboty i dopiero wtedy można mówić o skutecznej pracy. Zasadniczą trudnością jest brak dobrego przygotowania fachowego, licea bibliotekarskie i kulturalno - oświatowe zlikwidowano, a kursy to już nie to samo. Można kończyć Studium Kulturalno - Oświatowe, ale szkół tego typu jest zbyt mało na potrzeby kraju. Kultura korzysta więc z chałupniczych metod propagandy. Najwięcej trudności przysparzają lokale: biblioteka na strychu, świetlica w remizie strażackiej, a w domu kultury — magazyn mąki i kaszy. Tak też bywa. Poza tym wyniki pracy zależą od ludzi. Jeden bibliotekarz potrafi nosić książki do punktu wiele kilometrów, przez błota, a inny wywiesi na drzwiach, w godzinach dyżurów, kartkę „zaraz wracam" i idzie do ogródka z motyką. W tej świetlicy prowadzi się zespoły zainteresowań, organizuje wykłady, podczas gdy w sąsiedniej można od czasu do czasu obejrzeć program telewizyjny, o ile świetlicowa nie zapomni przyjść.

Propagowanie oświaty i kultury wynika z obowiązków tych ludzi, istnieją jednak na wsi grupy inteligencji o innych specjalnościach. Chociażby lekarze. O zarobkach ich krążą legendy, ale właściwa sytuacja lekarza na wsi pozostaje tajemnicą. Poza grupą kombinatorów, mają oni ciężką pracę, może dlatego wkład lekarzy w rozwój kultu-

ROMANÓW W ROKU KRASZEWSKIEGO

(Dokończenie ze str. 4)

Muzeum nie posiada żadnego dowodu swego fenomenalnego powodzenia, tak dalece samo zostało nim zaskoczone.

Słyszało się głosy w ciżbie:

— Czy będzie tu także punkt sprzedaży książek?

— Warto by uruchomić nie tylko wypożyczalnię i czytelnię dla wsi, ale i księgarenkę. Koniecznie księgarnię!

Przy jednym z eksponatów — bibliografii pism Kraszewskiego w postaci 9-metrowej taśmy, sporządzonej przez Karola Estreichera — zastaję chłopa, notującego sobie tytuły dzieł, o których nigdy nie słyszał.

— Proszę pana — mówię — to ogromny trud. Ten rulon ma 9 metrów.

— To nic. Dam sobie radę. Ja będę tutaj częstym gościem, choć mam do domu w Pogorzelcu 9 kilometrów. „Powoli a stale", jak mówił Kraszewski. (Przeczytał sobie widocznie to hasło „Athenaeum" Kraszewskiego w jednej z 40 gablot).

Zwraca się do mnie zapalony do nauki chłopak około lat 18:

— Słyszałem, że nikt całego Kraszewskiego nie przeczytał. A ja chcę pokazać, że dam mu radę. Jestem jeszcze młody. Co pan o tym myśli? Czy mógłby mi pan poradzić, jak się do tego zabrać? Od czego należałoby zacząć: czy czytać alfabetycznie, według tytułów, czy tak, jak utwory powstawały? Ja myślę, że chronologicznie. Ale czy wszystko w Romanowie dostanę?

Samouk najczystszej wody, chłonny, naiwny, niecierpliwy, nienasycony... Sto pociech i tysiąc kłopotów z takimi klientami, garnącymi się do „skarbnicy kultury", za jaką uznano Muzeum J. I. Kraszewskiego.

— „Wybudowaliśmy dom, w którym nikt nie będzie mieszkał, urządzony jednak całkowicie z myślą o człowieku — jak oświadczył gospodarz województwa. — Budujemy i takie domy, mające służyć ludowi pracującemu, mające służyć całemu społeczeństwu".

Odpowiedzialność za rozbudzony u ludu Podlasia głód kultury wzrosła ogromnie. Nie można żadną miarą zostawić utworzonej placówki kulturalnej na łasce losu, bez opieki państwa i ogółu, bez wystarczających zasiłków bez środków egzystencji, z długami od zarania. Natomiast trzeba umacniać wszelkimi sposobami jej głęboką rację bytu, utwierdzoną szczególnym zainteresowaniem wsi. Zapewnić jej popularność przez jak najwyższy poziom naukowo-oświatowy, okazywać jej pomoc w darach, nowych nabytkach, zasiłkach i odwiedzinach, uczynić z niej instytucję muzealną z prawdziwego zdarzenia i zarazem uniwersytet ludowy.

Kto powinien czuwać nad programem działalności muzeum, posiadającego świetne warunki ekspozycyjne i szeroko zakreślone przez Wojewódzką Radę Narodową pole działania? Towarzystwo Przyjaciół Kraszewskiego, któremu wypada życzyć jak najwięcej członków wspierających dzieło w Romanowie.

Antoni Trepiński

---

ry na prowincji jest znikomy. Niestety, równie wolno postępuje ekspansja oświaty sanitarnej, od tej grupy inteligencji zależna; higiena osobista, odżywianie, nawyk leczenia się u lekarza, to sprawy ciągle na wsi nie załatwione. Chłop woli często iść do znachora, który za „zabieg" prześwietlenia głowy latarką (!) każe sobie słono zapłacić, niż do lekarza, bo nie ma do niego zaufania. Dlatego wciąż jeszcze zadaniem lekarzy na niwie kulturalnej jest popularyzacja higieny, tylko skąd brać na to czas? Lekarz wiejski nie bawi się w wąziutką specjalizację, musi wyrywać zęby, kleić porozbijane głowy, asystować przy porodach, leczyć gardło i serce, a przede wszystkim pisać, wypisywać, stemplować. Poza tym trzeba przecież utrzymać kontakt ze współczesną medycyną, lektura zjada dużo czasu. Stanowczo mit dobrobytu lekarza na wsi mija się z prawdą, w dodatku zarobki wcale nie są takie wielkie, chyba że pogoń za pieniądzem staje się jedynym celem życia. Na ogół jednak dobry lekarz zarabia znacznie mniej niż sprytny znachor.

Na jednym z turnusów swego Uniwersytetu Ludowego Waldemar Babinicz „odkrył" ciekawą grupę inteligencji — lekarzy weterynarii. Są to ludzie aktywni, pełni dobrych chęci, ale trudno żądać od nich działalności kulturalnej, bo na nią nigdy nie znajdą czasu. Nie ma chyba zawodu bardziej wyczerpującego, równie pracochłonnego. Praca nie jest obliczana wedle godzin, całą dobę trzeba wytężać umysł i siły, a mimo to pacjenci czekają w kolejkach. Pewien weterynarz w chwilach wyczerpania wyłączał telefon i barykadował drzwi, a odpocząwszy, przez kilka następnych dni nie wychodził z obory, gdzie seryjnie dokonywał zabiegów, aż do następnej depresji. W takich warunkach jedynie popularyzacja wiedzy fachowej ma pewne szanse powodzenia.

Bardzo aktywną grupę stanowią specjaliści w dziedzinie rolnictwa, agronomowie, instruktorzy rolni, instruktorzy kółek rolniczych, pracownicy PGR. Oprócz szerzenia wiedzy rolniczej, gdzie bardzo trudno o sukcesy, chętnie biorą udział w wykładach i odczytach, organizowanych przez placówki kulturalne. Niestety, jest ich stale za mało, w agronomówkach kury chowają się przed deszczem, a wsie miesiącami nie oglądają instruktorów rolnych.

Nie sposób pominąć poważnej grupy wiejskiej inteligencji, która propaguje swoistą kulturę. Księża w swych wystąpieniach zbyt często atakują kulturę laicką, by można mówić o jakiejś współpracy w dążeniu do podniesienia poziomu kultury na wsi. Zamiast literatury współczesnej, popularno-naukowej, proponowanej przez biblioteki publiczne, biblioteki parafialne udostępniają książki o treści religijnej lub propagują bezwartościowe romansidła. Pokazywano mi jedno z takich „arcydzieł" w gazetowych odcinkach. — „Krystyna, przez miłość na katorgę skazana". Hej, łza się kręci! Kiedyś przypomniano sobie o „Szerszeniu" i jego antyreligijnych przesłankach, wobec tego w wielu bibliotekach książka ta została wypożyczona przez dewotki, a następnie starannie „zagubiona", przy czym należność oczywiście uiszczono. W ten sposób „Szerszeń" znikł z półek bibliotecznych w niektórych powiatach.

Absolwenci szkół średnich na wsi pracują w radach narodowych, spółdzielniach i innych instytucjach, przechodząc obojętnie obok kultury. Niektórzy prowadzą wprawdzie biblioteki czy świetlice, ale jest to raczej znikomy ich procent, przeważnie nie są nawet konsumentami kultury, po prostu równają w dół, do ogólnego poziomu środowiska. Pracownik gromadzkiej rady, który czyta książki i gazety lub zagląda do świetlicy, jest zjawiskiem unikalnym, trudnym do wytropienia. Chlubnym wyjątkiem są milicjanci, chętnie prowadzą punkty biblioteczne, uczestniczą w kursach i wykładach, a przede wszystkim sporo czytają, skrzętnie unikając „kryminałów".

Jest wreszcie na wsi sporo młodych ludzi ze średnim wykształceniem, którzy osiedli na ojcowskiej roli, oni również powinni stać się przynajmniej odbiorcami kultury. To właśnie z myślą o nich ZMW stworzył swoje kluby i świetlice, starając się wciągnąć ich w krąg pewnych problemów, zachęcić do udziału w odczytach i dyskusjach. Być może w przyszłości działalność ta da pozytywne wyniki, na razie jest w fazie startu.

Okres obecny charakteryzuje się nasileniem akcji kulturalno-oświatowej na wsi, bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest teraz pomoc inteligencji. Bez tego sojusznika, w oderwaniu, placówki kulturalno-oświatowe nie zdziałają wiele.

Jacek Wojciechowski

POCZĄTEK FLIRTU

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

...Białostockiego teatru im. Węgierki z Melpomeną dokonał się w bieżącym sezonie w dniu 15 września. „Flirt" ten (oby jednostronny) zainaugurowało przedstawienie „Fantazego, czyli nowej Dejaniry", pozycji, która po wojnie obeszła nieomal wszystkie sceny. Przynajmniej te ważniejsze. Czy wybór to przypadkowy, czy zapowiadający, jak uwertura operowa, profil przyszłego sezonu? Wydaje się, że raczej to drugie. Realistyczny, umiarkowany, przeznaczony dla najszerszych rzesz odbiorców spektakl ma świadczyć chyba o dalszej ekspansji teatru w środowisko białostockie w celu pozyskania nowego widza.

Użyłem określeń „realistyczny" i „umiarkowany" nie bez kozery. Realizm tekstu bowiem „...polega na tym, że poeta nie upiększa życia, nie wprowadza, jak w wielu innych dramatach, akcentów baśniowych, ale odtwarza świat prawdziwy, w którym żyją prawdziwi ludzie z ludzkimi zaletami, słabościami, wadami" *).

I w tym kierunku właśnie poszła zasadnicza myśl reżysera — Jerzego Zegalskiego: ukazania — niemal „na współcześnie" — ludzkich charakterów, ukazania złożoności psychiki postaci bez używania barw kontrastowych, bez jednoznaczności. Ale także i bez specjalnego zagłębiania się w warstwę historyczną utworu. Bowiem delikatny rysunek, wycieniowanie bohaterów doprowadza w konsekwencji do złagodzenia konfliktu — wyraźnie sugerowanego przez poetę — przeciwstawienia zdegenerowanej arystokracji grupy demokratycznej szlachty.

I tak szlachetność i demokratyzm Dianny — grana przez T. Zagłobiankę najprostszymi środkami i przez to bardzo sugestywnie — nie jest tak uderzający w zestawieniu z hr. Respektową (W. Czerniawska) w gruncie rzeczy bardziej sympatyczną w swej głupocie niż zachłanną pozerką. Dotyczy to również hr. Idalii (K. Waśkiewicz) miejscami upozowanej do przesady, miejscami zupełnie „współcześnie" cierpiącej kobiety, a co istotniejsze — również samego hr. Dafnickiego. Fantazy J. Bricka poważnie odbiega od tekstu znanego z lektury. Aktor wzbogaca postać tragikomedii wprowadzając elementy nieomal patologicznego, wyrafinowanego estetyzmu. Ale ta subtelna analiza postaci wpływa jednocześnie, jak wspomniałem, na stuszowanie warstwy ideologicznej sztuki. Natomiast zwolennikami ostrych kontrastów (wbrew reżyserowi) między arystokracją a Janem — Dianną — Majorem byli hr. Respekt (E. Dziekoński) i w niektórych scenach hr. Idalia. Złoty środek wybrał J. Czerniawski jako Rzecznicki, godząc nieco tę postać i nie przerysowując (a łatwo było) partii komicznych.

Całość jednak blednie wobec niezwykle plastycznie zagranej ostatniej sceny utworu. Zasługa w tym niemała St. Jaszkowskiego jako Majora i prostego, ludowego — wbrew szlacheckiej deklaracji — Jana (Z. Nawrocki).

W sumie rzec trzeba, że otrzymaliśmy przedstawienie reżysersko bardzo — mimo tych niewielkich uchybień — poprawne i czytelne. A niemała w tym zasługa także scenografa, Ryszarda Kuzyszyna, który w najprostszej architekturze sceny potrafił stworzyć nastrój — przede wszystkim dzięki delikatnej grze świateł — doskonale oddający atmosferę sztuki.

* * *

Po tym udanym starcie dalsze plany repertuarowe teatru Węgierki przewidują z klasyki: „Skiza" — Zapolskiej, w reżyserii Krystyny Meissner (od tego sezonu reżyser etatowy teatru) i scenografii Krzysztofiaka, dalej „Wujaszka Wanię" — Czechowa, Szekspira — „Jak wam się podoba", „Zemstę" — Fredry oraz Calderona — „Circe albo miłość silniejsza ponad wszelkie czary", w transpozycji Emila Zegadłowicza. Z repertuaru współczesnego ujrzymy „Ostatniego brata" — Drozdowskiego, „Wizytę starszej pani" — Dürrenmatta, a z amerykańskich „Requiem dla zakonnicy" — Faulknera lub „Piknik" — Inga. Ponadto w najbliższym czasie zostanie wznowiony dramat Simonowa — „Sumienie" pokazywany na Festiwalu Toruńskim.

Nawet ten niepełny zestaw tegorocznego repertuaru ukazuje jego eklektyzm. Zjawisko trudne do uniknięcia zważywszy fakt, że teatr nasz jest jedyną tego rodzaju placówką na terenie ponadmilionowego województwa. Nieśmiałe sugestie grupy teatromanów, by teatr białostocki znalazł bardziej określone oblicze artystyczne, w tym jeszcze sezonie nie wydają się realne. Ale nie niemożliwe na przyszłość, czego dowodem chociażby próby czynione ongiś przez Irenę Górską, a także takie horoskopy, jak stopniowe wykrystalizowanie się dobrej atmosfery wokół teatru, i to nie tylko w samym Białymstoku, znaczne odmłodzenie zespołu artystycznego, wreszcie troskliwa, jak nigdy dotąd, opieka władz wojewódzkich.

Jeśli mowa o pierwszym z tych czynników, to warto się chyba zastanowić nad pełniejszym wykorzystaniem sprzyjającej aury i doprowadzić do konsolidacji tego, co zostało w ubiegłym sezonie nazwane przez dyr. Zegalskiego „otoczką intelektualną teatru". Czy nazwie się to „Towarzystwem Przyjaciół Teatru" (jako sekcja przy TMZB?), czy jakoś inaczej, nie jest istotne. Ważne, że pole do działania jest duże: popularyzacja sztuki dramatycznej poprzez spotkania, dyskusje, prelekcje z jednej strony, z drugiej zaś grupa ta stanowiłaby najchłonniejszą widownię dla eksperymentu teatralnego w najszerszym rozumieniu tego słowa. Towarzystwo takie mogłoby być również podstawą działania dla bezpańskiego trochę, jak dotąd, Teatru Propozycji, co autor niniejszego niejednokrotnie sugerował. A czynić coś trzeba jak najszybciej, bo z kulturą teatralną nie jest u nas najlepiej.

*) St. Jerschina — Wstęp do „Fantazego". Wyd. Ossolineum 1952, s. 18.

Słowacki — „Fantazy". Reż. Jerzy Zegalski, scenografia Ryszarda Kuzyszyna. Na zdjęciu: Stanisław Juszkowski (Major), Zygmunt Nawrocki (Jan), Teofila Zagłobianka (Dianna).

Fot. J. W. Brzoza

PONIDZIE

LITERACKA GRUPA MŁODYCH ZIEMI KIELECKIEJ

BOGDAN PASTERNAK

Budował miasto

Ojciec budował miasto
na brzegu Kamiennej
Miasto mojego dzisiaj
kwitnące jak łąka
kolorami tynków
oczami nocy patrzy
w szybę wody czystej

A Ty ojcze w łodzi
co do Hadesu jutro odpłynie
Zostawiłeś ślad na brzegu
na piaszczystej drodze
na drodze którą idę

Politycy

Mieszkamy na zakręcie historii
Politycy jak omnibusy pędzą
zgrzytają hamulce nerwów
przed ostrzeżeniem
„Przejście dla ludzi"
Boję się złych kierowców
w ślepej uliczce
po której chodzą ich dzieci

RYSZARD FATYGA

Skrzypek

Alkoholiczne oczy i uśmiech imbecyla.
Pod pachą skrzypce.
Za kufel piwa, melodia.
Palce wiotkie jak trzcina tataraku
Gonią triolami po strunach.
To nic, że grajek dworcowy,
Nie będzie „cyraneczki", ani „góralu".
Drobiazg, że kiedyś wprawki, koncerty.
Gdy struny nadające tętno
Popękały,
Może być tylko czardasz Montiego
Za kufel piwa.
Wtedy imbecyl z alkoholikiem
Uciekają z rezonatora.
Można jeszcze pomarzyć z Schumanem
Zagryźć piwo czekoladą.
Koncertu nie będzie.
Pozostaje wsunąć
Przepołowione jak los skrzypce [pod rękę
By mogli wrócić tamci dwaj.

ANDRZEJ ZATORSKI

Nie wmawiajcie we mnie

Jeśli już muszę hołd składać
białym szeregom łóżek,
zakratowanym oknom,
które zatrzymują wędrówki wzroku —
jeśli ziemia daleka na wyciągnięcie dłoni
pochłania światło i sięga do oczu,
zabandażowane klamki nie kłują metalem
— nie wmawiajcie we mnie, że to nic nie boli.
Na granicy bieli wąskich korytarzy,
zapachu karbolu, westchnień izolatek,
jest dzień czerwcowy rozkwitły kwiatami,
uśmiechem dziewcząt w białych kołnierzykach.

A nawet wtedy gdy ściśniętą krtanią
przełykam cierpki uśmiech witaminy —
na końcu igły błyśnie zachód słońca
i wraz z ukłuciem przemieni się w wieczór
— nie wmawiajcie, że to nic nie boli.

HENRYK JACHIMOWSKI

pejzaż prowokowany

twarzami upadną i będą gryźć ziemię
ale nie będzie odwrócenia
będą leżeć i gryźć ziemię
w powietrzu cuchnąć zacznie czymś [niesamowitym
właśnie wtedy przyjdzie to

nie zagrają trąby
nie zejdzie nikt w dolinę
oderwani od ziemi chciwie połykanej
napowrót poupadamy
głowy nasze odpadną
polecą w górę ręce nasze jak [skrzydła ptaków
pourywani zawiśniemy
spłynie na ziemię sok czerwony —
w tym czasie
jeszcze powietrze obdarzy nas [temperaturą
zakrzepniemy w przedziwne kształty
ziemia stanie się skorupą

będzie wtedy bardzo idealnie

ADA KOPCIŃSKA

Pozowanie

Mam zamiast oczu rozłupane ziarna
wyjęte świtem z szczęki
słonecznika
mam włosów sieci suszone
palcami
oddechem rybaków.

Mam ciepło psa
co darowany dobremu panu
łasi się.

I to jest właśnie delikatność grania
mieszanie barwy
i chęć pozowania.

KONSTANTY TARNOWSKI

Maki

Zmęczony szarzyzną słów patetycznych
wypoczywam
kiedy patrzę w czerwień
wplątaną w kłosy
napełnione zapachem świeżej dzieży
palące się proroctwem
ognistego pieca
w którym zmielona biel ziaren
zachwyci wypukłym rumieńcem
razowego chleba

REWELACJA

KONRAD BIELSKI

NUMER trzeci „Reflektora" był najlepszy. Treściwy, zwarty, mówił coś o nas. Bo i rzeczywiście, dość prędko przeszliśmy chwiejne kładki początkowej drogi i weszliśmy na równy gościniec. Jednocześnie to był już właściwy zaczątek powstania naszej ścisłej grupy. Przede wszystkim odeszli od nas ci, z którymi szliśmy razem od początku, ale nie w jednym kierunku.

Odpadł więc definitywnie Jaworski. Nadesłał nawet takie pismo, że występuje z grupy literackiej „Reflektora" i prosi, aby to oświadczenie mu wydrukować. Listu tego nie umieściliśmy, wychodząc z założenia, że przynależność do grupy literackiej nie jest przecież związana z żadnymi formalnościami. Jedynym kryterium jest poczucie wspólnoty i stosunek do sztuki. A więc gdy Jaworski przestał się uważać za naszego towarzysza w grupie — automatycznie przestał nim być. Zresztą łączyła go serdeczna przyjaźń ze mną i z Gralewskim, był nawet twórcą tytułu pisma, lecz nie decydował obecnie o jego charakterze, dalszym kierunku i drogach rozwoju. I to ani oficjalnie — nie figurował w stopce pisma — ani faktycznie — nie brał udziału w licznych naszych naradach.

Następnie zgubiliśmy po drodze Husarskiego. Jak już uprzednio pisałem, miał on do nas liczne pretensje, a największą tę, że nie on jest redaktorem pisma i nie ma żadnego wpływu na jego kierunek. Bowiem wszystkie jego sugestie oraz perswazje nie dawały żadnego rezultatu. W miarę rozwoju i powodzenia „Reflektora", zdawaliśmy sobie sprawę, że my mamy rację i dlatego też głusi byliśmy na wszelkie podszepty, aby zboczyć z drogi i zmienić kierunek. Husarski, który już wydziwiał na Majakowskiego w pierwszym numerze, nie mógł się pogodzić z inwazją nowych nazwisk oraz ze sformułowaniami teoretycznymi Bobrowskiego.

Najpóźniej od nas odszedł Bocheński. W trzecim numerze zamieścił jeszcze przekłady francuskich poetów (teksty i wybór dostarczony przez nas), ale już jako oryginalny poeta był nieobecny. W dobrych stosunkach pozostawaliśmy z nim do końca, nikt chyba do nikogo nie zachował żalu. Jasną było rzeczą, że mariaż Bocheńskiego z „Reflektorem" był niedobrany.

Natomiast zacieśniliśmy jeszcze i tak serdeczne stosunki z niektórymi poetami Almanachu Nowej Sztuki. Wężyk dał piękny przekład z Apollinaire'a, Stern wydrukował u nas spory poemat pt. „Europa", do którego przywiązywał dużą wagę. Znalazł się i wiersz Młodożeńca, który kurtuazyjnie umieściliśmy na pierwszym miejscu, nawiązaliśmy kontakt z Brzęczkowskim zaznaczony nadesłanym wierszem. Spora porcja jego najnowszych poezji przyszła do nas zbyt późno.

Curiosum tego numeru był absolutnie paseistyczny wiersz Juliana Przybosia pt. „Odkupienie", — choć przecie w tym samym czasie wydał swoje poezje pt. „Śruby" nakładem „Zwrotnicy", której był już stałym współpracownikiem. W tymże numerze „Reflektora" na ostatniej stronie właśnie reklamujemy te „Śruby", a w następnym miała być ich obszerna recenzja.

Ale i nasz własny wkład był nie byle jaki. Bobrowski napisał dwa (jeden wstępny) zasadnicze artykuły. Było to już wyraźne określenie naszego stanowiska. Doprawdy chciało by się przepisać z nich całe ustępy. Tyle jest tu sformułowań ciekawych, słusznych i aktualnych po dziś dzień. Poza tym moja proza, nowe wiersze Gralewskiego i Grędzińskiego no i... Czechowicz. To była niewątpliwie największa rewelacja.

W tym czasie żyliśmy ze sobą wzajemnie bardzo blisko. Spotykaliśmy się codziennie. Te spotkania wypełnione były rozmową o sprawach najbardziej nas obchodzących — i tych codziennych, i tych od święta. Właściwie nie mieliśmy między sobą żadnych sekretów. W tym wieku odczuwa się jeszcze potrzebę zwierzeń. Wiedzieliśmy więc o sobie prawie wszystko. Omawialiśmy przeczytane książki, dyskutowali przeróżne problemy, a przede wszystkim czytaliśmy sobie nawzajem własne płody. Już tak weszło w zwyczaj, że gdy napisałem nowy wiersz, nie mogłem się doczekać tej chwili, gdy go zaprezentuję przyjaciołom i wysłucham ich opinii. Wiedzieliśmy jednak czego po sobie nawzajem możemy się spodziewać. Zasadniczo nie było większych niespodzianek. Oczywiście, że przyjaciele moi pisali wiersze coraz lepsze, były wzloty i upadki, ale wszystko się jednak trzymało pewnej linii.

Ale to, co pewnego dnia pokazał nam Czechowicz, było olśnieniem i wprawiło nas nie tylko w zachwyt, ale i zdumienie. Jak już pisałem, nie ceniliśmy Czechowicza jako poety specjalnie wysoko. W trakcie naszej współpracy przy „Reflektorze" Czechowicz tworzył nowe poezje coraz lepsze i ciekawsze, ale przecież i my wszyscy też czyniliśmy wyraźne postępy. Zaczęliśmy uważać Czechowicza za dobrego poetę i dobrego towarzysza na starcie tego „wielkiego pędu ku sławie" — jak to sam później pięknie napisał. Tego jednak wieczoru, gdy nam odczytywał cienkim głosikiem swoje nowe wiersze — czytał je i niewyraźnie — poczuliśmy od razu wiew wielkiej poezji. Zrozumieliśmy, że ten nasz przyjaciel sięgnął szczytów, na które niełatwo będzie się już dostać. Wśród tych wierszy były przecież „Przemiany" noszące podówczas tytuł „Śmierć" — no i „Na wsi".

Stare i zbanalizowane już przysłowie, że „Spirytus flat ubi vult" — ma jednak niewątpliwie wiele słuszności. Zawsze mnie interesowały drogi rozwoju talentu pisarskiego, lecz im bardziej nad tymi sprawami rozmyślałem i zagłębiałem się w badania — nieodzownie dochodziłem do przekonania, że tu nie ma żadnych prawideł, a jeśli są, to nie do wyśledzenia. Przecież w tym czasie z Józiem Czechowiczem żyłem w dużej przyjaźni, a jeśli już chodzi o sprawy literackie specjalnie związane z naszą osobistą twórczością, to doprawdy szczerość była całkowita i absolutnie żadnych tajemnic. Rozważaliśmy wspólnie wiele zasadniczych problemów warsztatowych i udzielaliśmy sobie wzajemnie porad. Ze wzruszeniem dziś jeszcze biorę do ręki pierwsze tomiki Czechowicza, odnajduję w niektórych wierszach drobne zmiany i poprawki uczynione na skutek moich uwag. A jednak wtedy te nowe wiersze były dla mnie absolutną niespodzianką.

(Dokończenie na str. 10)

80-LECIE MUZEUM W CHEŁMIE

STANISŁAW SKIBIŃSKI

W JEDNYM z artykułów z 1948 roku pisał Kazimierz Janczykowski: „8-go września 1882 roku została powołana do życia na Górze Chełmskiej instytucja, której na postrzyżynach nadano imię — Cerkiewno-Archeologiczne Muzeum. Tę datę uważać można za początek Muzeum Ziemi Chełmskiej". Tak więc 80-lecie Muzeum Chełmskiego przypada w roku bieżącym i tegoroczne obchody Dni Chełma odbyły się pod znakiem tego jubileuszu.

Zaledwie o 20 lat młodsze od Muzeum Narodowego — Muzeum w Chełmie należy do najstarszych placówek muzealnych Polski. Problematyki muzealnictwa chełmskiego nie można poznać bez zapoznania się z jego bogatą przeszłością. Charakteryzują ją takie etapy rozwojowe:

1) Cerkiewno — Archeologiczne Muzeum Prawosławnego Bractwa Maryjnego w Chełmie (1882—1915 r.),

2) Muzeum chełmskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (data ok. 1910—1915),

3) Muzeum Ziemi Chełmskiej przy Gimnazjum Państwowym im. St. Czarnieckiego w Chełmie (1920—1950),

4) Państwowe Muzeum w Chełmie (od 1950 r.).

„Cerkiewno-Archeologiczne Muzeum" chełmskie, powstałe w związku z ustawową likwidacją Unii kościelnej w Chełmszczyźnie, miało (według słów jednego z jego inicjatorów) takie początki: „Pierwotnie idea utworzenia (muzeum) nie była jasna i ograniczała się do jednego: zebrać i uratować starożytności unickie, ponieważ one szybko niszczały i przepadały bez śladu". W 1891 roku zbudowany został dla Bractwa nowy budynek, w którym w 4 pokojach znalazły pomieszczenie eksponaty muzealne. W 1907 roku Muzeum to obchodziło 25-lecie swego istnienia. W Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie zachowały się 2 księgi inwentarzowe zawierające nabytki od 1892 roku. Na 1. I. 1910 r. było wśród nich m. in. 379 zabytków sztuki kościelnej, 879 monet (przeważnie staropolskich), 209 portretów, rycin i zdjęć, około 500 starodruków (głównie poloniców) oraz 203 pozycje rękopisów.

Muzeum Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Chełmie istniało w ostatnich latach przed I wojną światową równolegle do Muzeum „Brackiego", a założone zostało dzięki staraniom J. Kicińskiego. Eksponaty zostały w większości rozgrabione przez wojska niemieckie w czasie I wojny światowej.

Ocalałe zbiory, głównie Muzeum „Brackiego" w Chełmie, zgromadzono w Gimnazjum im. St. Czarnieckiego w Chełmie, gdzie 1.V. 1920 r. utworzono „Muzeum Ziemi Chełmskiej" jako jeden z zakładów tej szkoły. Trzon eksponatów tego Muzeum tworzyły 164

Dokończenie na str. 14)

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

STACJA KOŃCOWA

WITOLD JUREK

KIEDY pociąg odjechał, a ludzie, którzy tu wysiedli, rozeszli się, zostali sami na pustym peronie i dziewczyna powiedziała:

— Pójdę i powiem im, że przyjechałam z tobą. Powinni to zrozumieć.

Miała bardzo jasne włosy i nie więcej niż dwadzieścia lat. Postawiła dużą, sportową torbę na ziemi.

— A jak nie? — spytał chłopak. Był wyższy od niej, też jasnowłosy, ubrany w wąskie, płócienne spodnie i skórzaną kurtkę, mówiąc nie patrzył na nią. Czuł się głupio. Właśnie przed chwilą stracił ochotę na wszystko z tego, co jeszcze mogło być. Cała odwaga, jaką przejawiał dotychczas, gdzieś się podziała, a jej miejsce zajęła niepewność. Starał się nie pokazywać tego po sobie, ale przychodziło mu to z trudem. Czuł się fatalnie.

— Dlaczego? — Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. — Mają duży dom, a są sami. To dla nich żaden kłopot.

— Nie znają mnie — powiedział. Gorączkowo szukał jakiegoś argumentu, którym mógłby ją przekonać, że to, co chcą zrobić, nie ma sensu. — Mogę się nie podobać. — Zupełnie stracił ochotę na wszystko. Z budynku stacyjnego wyszedł kolejarz i spojrzał w ich stronę.

— Jestem przekonana, że nie będą mieli nic przeciwko tobie. Przyjmą cię dobrze. Spodobasz się.

— Skąd wiesz — popatrzył w kierunku, w którym odjechał pociąg. Szyny lśniły.

— Bo wiem.

— Chodźmy stąd.

— Gdzie?

— W cień.

Było południe i słońce grzało mocno. Zaczął się pocić. Chętnie poszedłby nad wodę. Powiedział to dziewczynie.

— Tu nie ma żadnej wody.

— Właśnie. Tu nic nie ma. Z wyjątkiem twojej rodzinki.

Przeszli przez szyny, ku drzewom. Trawa była sucha i szara. Usiedli. Bardzo daleko widniały wzgórza. Droga, która biegła obok, musiała tam prowadzić. Gdyby był sam, wiedziałby co robić.

— Dlaczego nie chcesz? — spytała znowu dziewczyna. Nie mogła go zrozumieć. Od chwili, gdy wysiedli z pociągu czuła, że coś się stało. Chciała to wyjaśnić.

— Wiesz dobrze dlaczego.

— Nie.

— A mówiłem ci. Przecież mówiłem ci jeszcze tam, w mieście. Mówiłem cały czas. — Już mu na niczym nie zależało. Patrzył w kierunku wzgórz. — Nie chcę widzieć nikogo oprócz ciebie.

Dziewczyna spojrzała na niego, a potem podniosła się wolno.

— To są moi rodzice.

— Nic mnie nie obchodzą. — Wciąż patrzył na wzgórza i nie spostrzegł, że zaczęła płakać.

— Musisz to zrozumieć...

Zauważył, że płacze. Nic na to nie mógł poradzić, zanosiło się na to od samego początku, nawet nie miał pojęcia, dlaczego. Czuł pustkę.

— Idź — powiedział. — Idź i powiedz im o mnie. Ja tu zaczekam. Powiesz mi, jak to przyjęli. Będę czekał.

— Naprawdę? — Dziewczyna przestała płakać. Otarła oczy.

— Tak. Idź jak najprędzej.

— I będziesz tu czekał?

— Przecież powiedziałem. — „Dlaczego — myślał — ilekroć poznam jakąś dziewczynę, ta chce, żebym od razu zawierał znajomość z całą cholerną rodzinką, ze wszystkimi bliższymi i dalszymi jej znajomymi, wszystkimi durnymi ciotkami, jakie tylko istnieją, a z którymi nie chciał nigdy nic mieć wspólnego? Dlaczego im tak na tym zależy?"

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę...

— Idź już.

— Już idę. Wrócę szybko. Będą zachwyceni. Zobaczysz, że wcale nie jest tu tak źle, jak ci się wydawało.

— Na pewno — powiedział.

Odeszła. Czekał dopóki nie zniknie mu z oczu, a kiedy znikła, wstał i zaczął iść, a potem biec drogą, w kurzu, ku wzgórzom, które czekały na niego. Od początku wiedział, że tam pójdzie. Noce są teraz ciepłe, a las przyjazny.

WIERSZE

VIOLETTA SZORC

Kazimierz

nad gotyk fary kamień opieszale
krok rozgałęzia trawę celebruje
nad miłość co z kamieni wschodzi
wąwóz się skibą olbrzyma nakłada

tu obyczajność ciepło narodziła
profil semicki rzeźbi cieniem drzewa
jedną ruiną ruina milczenia
druga z kamienia upadkiem do rzeki.

WOJCIECH ZEJDLER

*
* *

Kosodrzewinę, którę latem
tak polubiłem — zakopiańską —
— przeznaczam bratu
w te dnie najbardziej niedorzeczne
pieśni od dziwnej drogi mojej
matce konieczne
jak słońce — lizak z kramu nieba
i konstelację Andromedy
dla ciebie trzeba
dzień najcieplejszy i radosny
gdzieś pośród monet i sumienia
— ojcu na wiosnę
jak dobrze było jest i będzie
w godzinach letnich wspominania
— każdemu — wszędzie
na ziemiach mojej wyobraźni
gdzie królem bywał zły muezzin
niech kwitnie jaśmin —

WINCENTY ZAWIRSKI

Zmierzch

spurpurowiało niebo

wsparty o własny cień
okiem przebiegam rozrost rzeki

nawisa mgła

jak zanurzona w chorał Bacha
jękliwie dźwięczy promu struna
w oddali most unosi skrzydła
nad rozłupane tchnieniem fale

płowieją brzegi

z góry opada błysk niedźwiedzi
podobny błyskom samolotu

co chwilę w wodzie ryba gaśnie

nadchodzi pora
gdy z wody wyjąć mogę światło
i w ręce swoje wziąć cię miasto

Rzeszów

A jak poszedł...

BARBARA NOWOROLSKA

NIE, nie pamiętam wojny, skądże, nie miałam roku, kiedy się zaczęła. Znam tylko z rodzinnej gawędy. To dobrze, pan mówi? Może, ale to nie takie proste.

Noc parna, duszna, przez otwarty balkon wpada zapach maciejki i rezedy. Wózek ze mną właśnie tam stoi. Zawsze tam stał, gdy nie było ojca, bo matka bardzo mnie biła — podobno mocno się darłam. W ogóle często mnie biła i wtedy i później. No więc kiedy się darłam, dostawałam w goły tyłek i wózek lądował na balkonie. Nie kochała mnie. Za wcześnie przyszłam. Bywa. Ojciec co innego. Kiedy na jeden dzień pojechał do Krakowa, to w południe wysłał do domu depeszę: „nie bijcie pędraka."

Wtedy w tę noc mama siedziała w łazience i coraz dolewała wody, która szybko stygła. Wyśpiewywała przy tym wszystkie modne romanse. I nie słyszała pukania, a potem walenia w drzwi. Nikt nie otwierał, więc ojciec wszedł przez balkon. Odepchnął stojący na drodze wózek i wbiegł do łazienki. Zaczęłam wrzeszczeć tak mocno, jak nigdy. Bo nie wiedziałam, dlaczego i on mnie odpycha. A ojciec wołał do mamy:

— Pakuj prędko rzeczy, kopalnię ewakuują! Za godzinę wyjeżdżam!

Że co, że nie mogę tego pamiętać? Przecież powiedziałam, że nie pamiętam, ale to tak właśnie było. Ojciec wrócił za dwa dni. Cały transport zbombardowano. On w czasie nalotu poszedł się napić piwa, a że bufet był zamknięty, więc za kimś pognał, żeby nawymyślać, co za porządki. To go uratowało. A swoją drogą to dobry kawał — narzekać na gastronomię w czasie nalotu.

No więc gdy wrócił, to moja mama właśnie ugotowała gar kawy i wielką chochlą rozlewała ją w manierki żołnierzy powtarzając: „Okryjcie wasze orzełki chwałą" i tym podobne historie. Dla ojca nie miała czasu, więc babcia zapakowała mu dwie tabliczki czekolady i pięć par skarpetek. „Jasiu, idź broń ojczyzny" — powiedziała.

— No i co?

— Jak to co? Poszedł.

— A teraz?

— Teraz po prostu nie mam ojca.

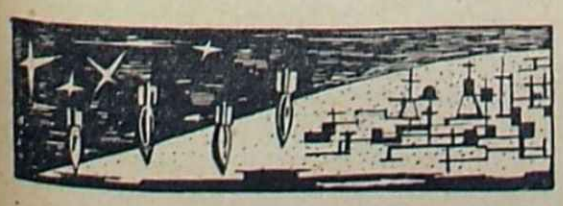

Rys. Jerzy Łabanowski

Pasikoniki

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

STARAŁEM się uwierzyć, że to złudzenie. Zmęczona oczekiwaniem wyobraźnia. Że to się nigdzie nie wydarzyło. Było we mnie. Tylko we mnie. Patrzyłem na biegających w popłochu ludzi i nie mogłem zrozumieć. Co to ich dotyczy? To brzęczenie jest we mnie, tamto za oknem to film. Nawet śmieszny. Spętani jakimś węzłem, wstrząsani tą samą mocą niepokoju byli mi jakby zupełnie obcy. Nie ruszałem się z miejsca. Nie wierzyłem. Kiedy zamykałem oczy, słyszałem przeciągłe brzęczenie i rozdygotany tupot wielu nóg, urywane okrzyki i zawodzenia, nagłe zrywy modlitwy i soczyste przekleństwa.

— Dlaczego pan to mi opowiada? Tyle lat...

Siedzieliśmy na skraju szosy. Przed nami wznosiło się piaszczyste wzgórze cmentarza św. Rocha. Nagie, nie porosłe drzewami jak inne wzgórza cmentarne, wysyłało ku białemu niebu coraz to nowe fale upału. Jeszcze chwila, a ukaże się jakaś pustynna fatamorgana. Wpatrywałem się aż do bólu zwężonych od słońca oczu. Nawet zdawało mi się, że widzę wystające spoza mogilnych szańców lufy karabinów maszynowych, które przez dwa dni broniły małej cząstki ojczyzny w tamte dni. Chciałem się otrząsnąć ze wspomnień wywołanych dostrzeżeniem tego cmentarza. Nie lubię ich, zbyt realnie odżywają koszmarne obrazy, więc chciałem już iść da'ej, gdy przysiadł się ten bezręki. Poprosił o papierosa, swoje już wypalił, a ma jeszcze trochę roboty — mówił — na cmentarzu, grób żony porządkuje. Akurat mija dwa lata, jak pochował. Rocznica. I tak od tej rocznicy się zaczęło.

Starałem się przerwać potok wspomnień:

— Dlaczego właśnie mnie pan to opowiada?

— Bo widzę, że pana też wspomnienia ogarnęły. Tu się nie przychodzi opalać.

Milczałem. Co on mógł o mnie wiedzieć? Patrząc przed siebie, począł mówić dalej:

— Dziś w nocy. Znowu dziś w nocy słyszałem. Bardzo wyraźnie. Obudziłem się i otworzyłem okno. To było tam — pokazał zdrową ręką niebo. — Śmieszne, prawda?

Niebo jest czyste, niebiesko-białe, nieduży świecący obłok przecięty kreską cichego szybowca. Drgnąłem. Usłyszałem nagle natarczywe granie polnych koników. Takie samo, jak wtedy. Upalne południe, nieruchoma suchość w powietrzu i te polne koniki. Warkot samolotów zagłuszony ćwierkaniem usłyszałem dopiero po wybuchu serii bomb. Nad lotniskiem w Krywlanach stał olbrzymi kapelusz czarnego dymu płonących zbiorników benzyny. A polne koniki grały coraz natarczywiej.

— Wtedy była także noc. Już wiedziałem, że to nie próbny alarm, ani też żadne złudzenia. Dziwnym trafem nie zostałem zmobilizowany. Batalion kapitana Kraszewskiego organizował obronę Białegostoku od strony Bacieczek. Dołączyłem się na ochotnika. Moja drużyna miała bronić odcinka cmentarza. Ustawiliśmy dwa cekaemy na szosę. Niemcy byli tuż, tuż. Późnym wieczorem dostaliśmy działko przeciwpancerne. „To już jak twierdza" — śmiali się chłopcy. Do późna w noc brzęczały koło uszu pasikoniki. Pstrykozy, jak tutaj mówią. Wróżyliśmy ze spadających gwiazd, było cicho i nieruchomo i to ciągle wzmagające się trzeszczenie pasikoników nie do wytrzymania. Aż wybuchło serią rozpryskowych bomb. Usłyszałem jeszcze, jak ktoś wrzasnął: „Rozpieprzyli działko!" Kiedy się obudziłem, pierwszym doznaniem było uczucie ścierpnięcia prawej dłoni. Chciałem poruszyć palcami, przegubem, zacisnąć pięść, coś mi stawiało opór. Otworzyłem oczy. Koło mnie leżało kilku żołnierzy przykrytych derkami. Nade mną piętrzące się jakieś belki, na ścianie zardzewiałe żelastwo. Zwykła szopa. Cierpnięcie dłoni stawało się nie do zniesienia. Jeszcze jeden wysiłek poruszenia ręką. Piekący ból. Zrozumiałem. Ręka została na cmentarzu.

PO POWROCIE Z POLSKI (2)

ANNA TATARKIEWICZ

OSTATNIMI laty pogoda nad morzem była „w sezonie" pod psem, i stąd zapewne rekordowa tego roku frekwencja wczasowiczów w Polsce południowej. Najazd nie ominął także Pienin. W Szczawnicy i Krościenku najpodlejsza ciupka znajdowała amatorów. Brzegi Dunajca zapstrzyły się namiotami. Szosą od Czorsztyna sunął potok autokarów i samochodów, w tym sporo wozów ze znakami czeskimi, niemieckimi, ba — angielskimi i francuskimi. Spływ cieszył się także niebywałym powodzeniem; w soboty i niedziele flisacy „obracali" dwa albo i trzy razy.

NA TRATWIE

Spływ — to przejazd Dunajcem od Czorsztyna do Szczawnicy lub Krościenka. Cała zabawa trwa około czterech godzin. Jedzie się grupami 10-osobowymi na specjalnych tratwach. Każda tratwa — to parę powiązanych z sobą długich i wąskich łódek. Szpary między łódkami uszczelnia się świeżą choiną. Pachnie ślicznie. Tratwę prowadzi dwu górali-flisaków, manewrując drągami, które służą za ster i za wiosło. Płaci się: od łebka dorosłego 50 zł, od dziecinnego do lat dziesięciu połowę.

Flisacy działają jako spółdzielnia pod egidą PTTK. Pasażerowie dobierają się w grupy doraźnie, pod kasą, jak Bóg da. Nam dał towarzystwo miłej, młodej, milczącej pary (chyba zakochani), oraz kilku mniej młodych, mniej miłych, raczej nie zakochanych, a za to gadatliwych panów. Oczyma tedy chłonęliśmy widoki (Szkoda, że państwo tego nie widzą!), uszami — o jerum, jerum, jakby powiedział Kisiel — rozmowę. Panowie okazali się amatorami fotografowania. Najpierw więc szła gadka o Leicach, Tessarach, utrwalaczach, wywoływaczach i tym podobnych różnościach. A kiedy dojechaliśmy do granicy (granica polsko-czeska, jak wiadomo, na tym odcinku biegnie Dunajcem) — zaczęło się psioczenie na „pepiczków".

A to, że mają samochody. A to że nie mają gustu. A to że mają Garłuch. A to że nie mają Pienin. I tak dalej bez końca jadowite ple-ple.

Tego rodzaju zawistno-lekceważąca postawa wobec sąsiadów z tej czy innej strony nie jest u nas niestety wyjątkiem. Raczej przeciwnie.

Dziwna jest ta nasza mieszanina snobowania się na wszystko, co obce — i swoistej ksenofobii. Polscy turyści byle wytknęli nos za granicę, wykupują co się da i nie da, choćby to samo nie drożej i nie gorzej nabyć można w kraju. W lot chwytamy wszelkie zagraniczne nowinki, także i najgłupsze. A zarazem prześcigamy chyba inne nacje w niechęci i superkrytycyzmie wobec cudzych słabostek, czy po prostu charakterów i obyczajów.

Nie bez winy jest literatura.

Francuzi słyną z ksenofobii. Dla przeciętnego francuskiego mieszczucha cudzoziemiec to „sale étranger" (nie do przetłumaczenia). Ale w literaturze francuskiej od czasów Monteskjusza, Woltera, Russa, pani de Staël — cudzoziemcy mają znakomitą passę. Stendhal niemal całe swe dzieło poświęcił apoteozie Włochów. Tak uciążliwi sąsiedzi jak Niemcy znaleźli piewców i to nie byle jakich: Gerard de Nerval, Giraudoux, Vercors.

A czego nas uczy za młodu biblia narodowa, niezastąpiona lektura „nastolatków" — dzieło Sienkiewicza? Litwini i Kozacy są tam ukazani jako dzikusy; przedstawiciele Zachodu — jako kobieciarze, zacni, ale głupawi (de Lorche, Ketling); o Niemcach nie ma co i mówić; Czech Hlava jest co prawda „równym facetem", ale uplasowanym nader podrzędnie w stosunku do właściwych bohaterów. Taka narodowa megalomania ku pokrzepieniu serc.

Dobrze to sobie uświadomić, bodaj i na tratwie.

OD LEGENDY DO „HUTNIKA"

A Pieniny mogą się podobać. Może to znów narodowa megalomania, ale nasz flisak — zresztą wspaniały typ górala o rysach jak kamea wycięta w granicie — opowiadał, że niedawno wozili po Dunajcu międzynarodowy kongres przyrodników i ci przyrodnicy uznali przełom Dunajca za najpiękniejszy widok w Europie. Nie wiem, czy od razu najpiękniejszy, ale na pewno piękny. Gdybyż zawędrował tu jaki Lamorisse ze swoim helikopterem, z którego robił „Podróż balonem" i ukazał światu urok tego kąta: strzeliste skałki, szmaragdowy Dunajec, modrzewie i buki, łąki pełne kwiatów, romantyczne mury Niedzicy i Czorsztyna.

Ale na razie nakręcono tu tylko rzecz o Kostce Napierskim, uczczonym także tablicą pamiątkową w ruinach Czorsztyna. Przewodnik, oprowadzający po ruinach, ma niejaki kłopot z „ustawieniem" rebeliantapatrioty, który przy bliższym zbadaniu okazał się nie takim znów patriotą. Nasz gospodarz, stary kamieniarz informuje mnie konfidencjonalnie:

— A bo ten Kostek, proszę pani, to brał pieniądze od Szwedów. Tych samych, co ich nasi górale pobili w Wąwozie Sobczańskim i zratowali króla Jana Kazimierza.

Niemniej jednak turystów w Czorsztynie nadal się częstuje legendą Napierskiego. A turystów tam roje, jak zresztą w całych Pieninach. To nie Wybrzeże, gdzie wczasowicza kijem na spacer nie wypędzisz. Tu całe rodziny z małoletnimi pociechami i bardzo „letnimi" babciami ganiają aż miło po różnych Sokolich Perciach i Trzech Koronach. I moda tu inna. Gdy na Wybrzeżu poza plażą nawet w upał obowiązują bezapelacyjnie długie spodnie, tu dominują szorty. Czyżby mocą tradycji ck-tyrolskiej? A poza tym ton nadają „ciuchy". Nie darmo jesteśmy o krok od handlowej stolicy Podhala — Nowego Targu.

W Krościenku nie zabrakło także akcentu egzotyki. Przebywali tam na wypoczynku wakacyjnym studenci UJ i AGH — rodem z Ghany i Wietnamu. Co za frajda dla dzieci.

Inną sensacją sezonu był mecz piłki nożnej między reprezentacjami ośrodka wczasowego górników oraz liceum im. J. Sobieskiego z Krakowa. Był to mój pierwszy mecz w życiu (aż wstyd

Dokończenie na str. 13)

PIENINY — WROTA PRZEŁOMU DUNAJCA

Walka Hitlera z kulturą polską

(Dokończenie na str. 3)

naukowe zostały zamknięte jeszcze w 1939 r., a ich mienie specjalna komisja złożona z niemieckich naukowców wywoziła do Niemiec lub przeznaczała na zniszczenie. Taki sam los spotkał wszystkie zbiory sztuki. Ogołacano Polskę systematycznie z wszelkiego dorobku kulturalnego i urządzeń naukowych. — Należy zniszczyć ślady polskiej myśli i kultury, — powiedział gauleiter Forster we „Frankfurter Zeitung" 28.II.1942 r., — polski kraj winien być zmieniony w intelektualną pustynię („eine intellektuelle Wüste") — wołał gubernator Frank. Dlatego nie zezwolono na żadną publiczną działalność artystyczną, dlatego niszczono zabytkowe obiekty, pomniki, a nawet zamurowywano napisy na tablicach pamiątkowych i nagrobkach. Nie wolno było nosić mundurków szkolnych. Niemieccy pisarze otrzymali instrukcje, by w utworach swoich nie wspominać o Polsce. Sprawy kulturalnej aktywności omówił szczegółowo dekret z 8.III.1940 r., a kreishauptmannowie otrzymali instrukcje dotyczące „Kulturpolitische Rechtlinien".

Nie wystarczyło jednak zatrzeć śladów. Należało odciąć od dalszego rozwoju. Dlatego zamknięte zostały w 1939 r. uniwersytety i szkoły średnie; szkoły powszechne praktycznie także miały utrudnioną działalność: brak podręczników, zawieszanie zajęć pod byle pozorem (epidemia, brak opału). Frank wyraźnie wypowiedział się i na ten temat do kierowników działów okręgu radomskiego 25.II.1940: „Panowie możecie zawsze zasłaniać się brakiem węgla lub trudnościami lokalowymi. Jest oczywiste, że powinniśmy zapewnić Polakom szkoły powszechne. Jeśli jednak sami nie życzą sobie z nich korzystać, nie należy ich do tego zmuszać". 12.IX. tegoż roku jeszcze raz podał z naciskiem swoje wytyczne, powołując się na Führera: „Żaden Polak nie uzyska więcej aniżeli rangę majstra, żaden Polak nie będzie miał możności zdobywania wyższego wykształcenia w zakładach państwowych". Pozwolono jedynie na otwarcie dwuletnich szkół zawodowych, gdy zastąpiono plan zniszczenia Polaków na plan wyeksploatowania ich jako siły roboczej, niewolniczej.

Świetnie charakteryzuje politykę niemiecką wobec Polaków wypadek podany przez Landaua w jego „Kronice": oto prof. Łukasiewicz, „który miał sposobność przedstawić sytuację nauki w Polsce jakiemuś profesorowi niemieckiemu, otrzymał na jego interwencję... propozycję otrzymywania bezpłatnych zup". Cel swój pozornie osiągali — pracownicy nauki zmienili się w woźnych, palaczy, artyści w kelnerów, handlarzy..., prywatnie jednak pracowano nadal i to często bardziej intensywnie. Rozwinęło się bogate życie kulturalne w konspiracji z tajnym nauczaniem, prasą liczącą ponad 2000 tytułów, koncertami, teatrem, to już jednak odrębny temat. Nie przewidzieli Niemcy, że swymi metodami wzmogą ducha patriotycznego.

Zdzisław Jastrzębski

BOLESŁAW BŁAŻEJCZYK

Zmrok

Dzień odszedł głosami godzin
Wybijanych przez miliony
Zegarów całego świata.
Gwiazdy jak braillowskie punkty
Układają się w stronice
Pisma, które mogą czytać
Poeci i zakochani.
Ludzie zaczynają wspominać
Napęczniałe przeszłością
Odeszłe dopiero chwile.
Myślami krążą wokół snu
Który położy na ustach
Miękkie dłonie zapomnienia.

Sonata księżycowa

Tony przynoszą spokój
Nocy schowanej w klawiszach
Po których biegną palce
[doganiające czas
Modelując z melodii
Tęsknotę za księżycem
który choć bliski
Jest dla mnie tylko słowem.
Które widział Beethoven
Słyszał jako melodię
Jedną z wielu
Zamkniętych w fortepianie
By mogła swoim pięknem
Zastąpić straszną pustkę
Bezsennych nocy
Dla mnie bezksiężycowych

Bolesław Błażejczyk urodzony w 1934 roku, w tej samej miejscowości co Sienkiewicz — w Woli Okrzejskiej, wsi powiatu łukowskiego. Syn robotnika rolnego, od urodzenia niewidomy. Obecnie pracuje jako szczotkarz w Spółdzielni Pracy Niewidomych w Lublinie. Lata wojny nie oszczędziły mu gorzkiego losu. Będąc w szkole w Laskach, był wyprowadzany wspólnie ze swymi innymi kolegami na rozstrzelanie nakazane przez Niemców, utraty życia jednak szczęśliwie uniknął. Ten sam rok 1944 przynosi mu szczególnie ciężkie przeżycie — śmierć ukochanej matki.

Oderwany od świata, stara się wiele czytać. Wielbi poezję Słowackiego, Staffa i Gałczyńskiego, ceni twórczość Szymborskiej. We własnej twórczości poetyckiej szuka ucieczki przed smutną rzeczywistością, pragnie oddać swe przeżycia, posługując się najczęściej wypowiedzią liryczną. Rzeczą godną uwagi jest to, że nie stroni również od problematyki społeczno-patriotycznej. W jego liczącym ponad 100 wierszy dorobku poetyckim są utwory poświęcone świętu 22 Lipca, przedstawiające własną wizję Polski, związane ze wspomnieniami warszawskimi. Pierwsze jego wiersze ukazały się w 1956 roku w czasopiśmie braillowskim „Pochodnia".

REWELACJA

(Dokończenie ze str. 8)

Rozmawiałem później z Czechowiczem na ten temat. Pytałem jak to się stało, jaką drogą do tego doszedł. Wierzę, że chciał mi to wszystko wytłumaczyć, ale nie umiał. Może i sam nie wiedział. Mówił tylko, że od dłuższego czasu stała konsumpcja nowej poezji zmieniła jego dotychczasowe odczuwania. Największe wrażenie zrobiło na nim zapoznanie się z Apollinaire'm. No i tak to wszystko narastało, aż pewnego dnia, mówiąc słowami Grędzińskiego, „wybuchło i trysło". Od tej chwili, gdy Czechowicz znalazł ton, tę „nutę człowieczą", nie obniżył już nigdy swego lotu.

Po wyjściu trzeciego numeru „Reflektora", które wypadło pod koniec wiosny — przerwaliśmy na czas letni wydawanie pisma. Wszyscy wtedy wierzyli, że jesienią wznowimy nasze prace. Ten „Reflektor" przyjęty był bardzo dobrze, szczególniej w kołach młodzieży literackiej, zaczęto już o nas mówić i z nami się liczyć. Najlepszym tego dowodem była pokaźna plika korespondencji z różnych stron Polski, a nawet z zagranicy, z wyrazami zainteresowania i uznania. No i stale rosnąca liczba poważnych i ciekawych współpracowników. W mojej teczce redaktorskiej (niestety zaginęła w czasie wojny) znajdowało się wiele cennych prac, podpisanych nazwiskami dzisiaj znanymi w całej Polsce. Starczyłoby na wypełnienie kilku dalszych numerów.

Konrad Bielski

(Dokończenie ze str. 5)

Wydaje mi się, że u podłoża twórczości Cezarego Kotowicza tkwi silny podkład uczuciowy, jakaś powiedziałabym, dynamika uczuciowości, jakieś urzeczenie możnością odkrywania ludzkich przeżyć.

Obrazy takie, jak: „Odlot", „Wieczór", czy „Samotność", są ekspresyjną metaforą. Ustalają kompromis pomiędzy myślą, napięciem uczuciowym a przedmiotem. „Odlot" — to na pozór pejzaż ze sztafażem. Pejzaż traktowany szeroko, całościowo. Na tle granatowego nieba sznur cynobrowych ptaków, w dole krajobraz ponury w kolorze złamanych różów i brązów z opustoszałym domostwem. U skraju drogi stoi człowiek samotny — groteskowy nieco i zarazem tragiczny, przywodzący na myśl najsmutniejszych komików świata.

„Wieczór" jest utrzymany w błękitach i fioletach, urzekający w atmosferze wiecznego ruchu i przemijania. Na dworcowym peronie wśród odjeżdżających pociągów samotny człowiek, zagubiony i obcy.

W kompozycji „Samotność" realia są już tylko symbolami. Maleńka postać człowieka wyobcowana wśród przedmiotów martwych przygniatających go swym ogromem.

Niemal wszystkie obrazy Cezarego Kotowicza nasycone są jakimś szczególnym klimatem nastrojowości i poetyki. Pomarańczowy pejzaż utrzymany w tonacjach ciepłych, gdzie formy rozpływają się w rozedrganej temperaturze gorącego powietrza, gdzie ledwie zaznaczony kształt pędzącego pociągu ze smugą różowego dymu wprowadza nastrój niepokoju i niestabilności.

„Pejzaż po zachodzie słońca" jest abstrakcyjnym zestawieniem błękitów i zieleni, wśród których świecą cynobrowe plamy — oddaje on sugestywnie, niemal konkretnie atmosferę nocy. „Pejzaż wieczorny" z cerkwią jest szczególnie nastrojowy. Różowa kula zachodzącego słońca na tle żółtego nieba świeci smutnym blaskiem odchodzącego dnia. „Jesienny wieczór" utrzymany w złamanych szarościami różach i fioletach jest niemal liryczny. Cykl pejzaży morskich, dynamicznych, o zestawieniach konkretnych i niespokojnych ukazuje urodę krajobrazu fascynującego swą ruchliwą zmiennością.

Z wcześniejszych prac artysty szczególnie zwraca uwagę martwa natura zatytułowana „Po znojnej pracy". Jest ona w jakimś sensie opowieścią o trudzie człowieka: buty rzucone gestem zmęczenia, latarka górnicza i inne rekwizyty stwarzają wizję pracy człowieka, dość zresztą konkretnie określonej. Monochromatyzm obrazu podkreśla atmosferę znużenia i pewnej jednostajności. Oszczędność środków malarskich, bezpretensjonalność i prostota czynią obraz bardzo komunikatywnym.

Cykl rysunków zamyka ekspozycję. Rysunki wykonane są przeważnie w technice piórkowej. Żywa, ruchliwa i płynna kreska tworzy formę. Szkicowniki znajdujące się na wystawie pokazują szereg notatek robionych „na gorąco". Niektóre z rysunków są w pewnym sensie etapem w pracy nad kompozycją malarską.

Malarstwo Cezarego Kotowicza jest przedstawieniowe, jest to malarstwo przedmiotowe, choć, jak już wyżej zaznaczyłam, przedmiot w obrazach późniejszych sprowadzony jest do roli symbolu, do roli znaku, który określa treść uczuciową i intelektualną.

Myślę, że wciąż rozwijająca się osobowość twórcza młodego artysty pozwoli mu tworzyć dzieła coraz pełniejsze, coraz bardziej dojrzałe.

Co robią plastycy rzeszowscy

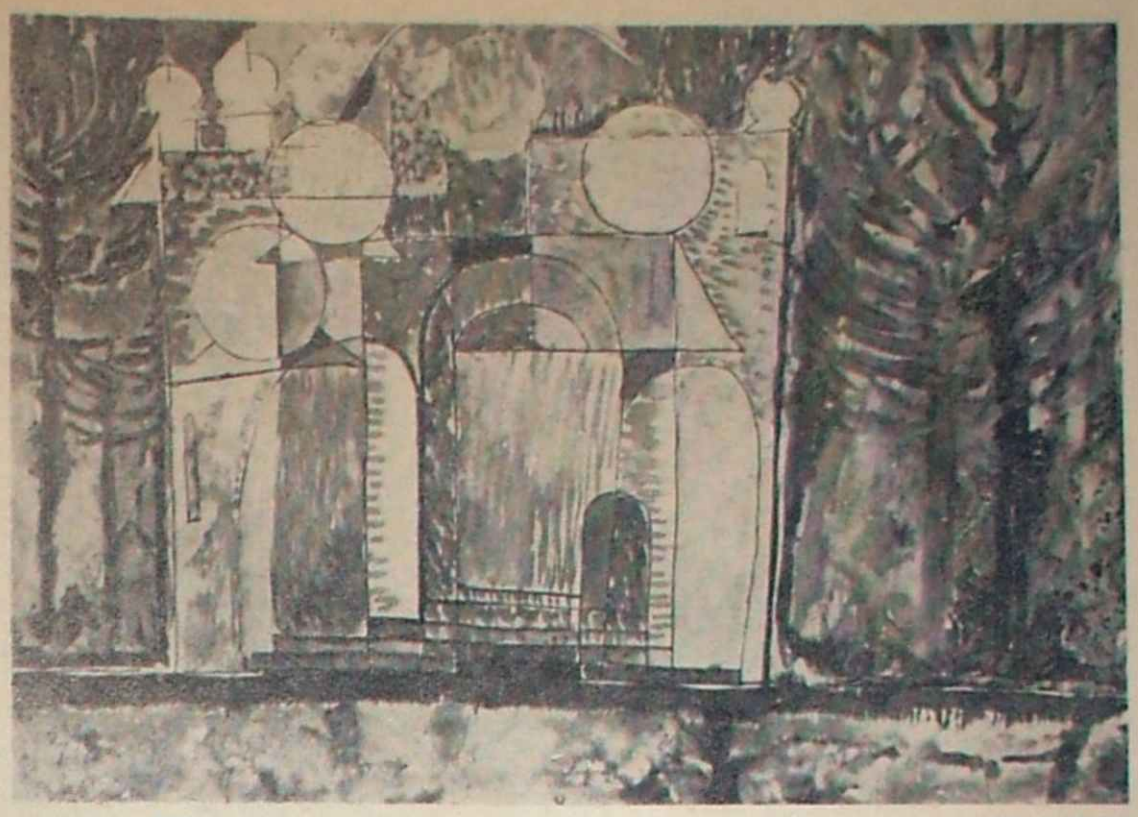

Helena Majewska
Cerkiewka II
(technika mieszana)

Fot. A. Hadala

RZESZOWSKI WRZESIEŃ

BIURO Wystaw Artystycznych, powstałe w Rzeszowie w marcu br., ma już w swoim dorobku szereg ekspozycji. Działalność tej aktywnej placówki, bardzo prężnie zorganizowanej, sprzyja rozwojowi i umocnieniu tutejszego środowiska plastycznego, sprzyja emanacji wartości twórczych oraz upowszechnieniu kultury plastycznej, zacieśniając więź pomiędzy twórcą a odbiorcą. Aktywność jej sięga poza Rzeszów dzięki wystawom urządzanym w różnych punktach naszego województwa. Zorganizowana w Iwoniczu - Zdroju tematyczna wystawa Adolfa Jakubowicza pt. „Szkice bieszczadzkie" stała się precedensem tego rodzaju imprez w owej miejscowości. Spotkanie z mieszkańcami Zdroju i wczasowiczami oraz spontaniczna dyskusja były żywym świadectwem nadspodziewanego zainteresowania sprawami plastycznymi.

Adolf Jakubowicz należy do twórców młodej generacji. Pochodzi on z Rzeszowszczyzny i jest z tymi stronami silnie związany uczuciowo. Po ukończeniu studiów w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych powrócił tu wraz z grupą młodych malarzy, związanych wspólnymi zamierzeniami twórczymi oraz wspólnym entuzjazmem dla spraw sztuki — „Grupa XIV".

Jakubowicz uprawia rysunek, malarstwo i grafikę. Prace znajdujące się na wystawie nie reprezentują w pełni twórczości tego młodego artysty, ponieważ są zwężone tematycznie, pozwalają jednak na ocenę wysokich wartości jego talentu.

Wystawa obejmuje 30 rysunków, litografii i temper, które w pełni wyrażają niepowtarzalny urok bieszczadzkiego krajobrazu. Bogactwo operowania środkami plastycznymi pozwala autorowi na ujęcie śmiałe, zaskakujące swą dynamiką. Czarnobiałe kontrasty w połączeniu z finezją półtonów tworzą formy syntetyczne, pełne, mocne w wyrazie i równocześnie czytelne.

W pracach Adolfa Jakubowicza uderza szczerość przeżycia i głębokie uczuciowe zaangażowanie.

W Rzeszowie w Okręgowym Muzeum odbywa się wystawa trójki młodych malarzy: Heleny Majewskiej, Jerzego Majewskiego, Zdzisława Ostrowskiego, którzy również byli uczestnikami i założycielami „Grupy XIV". Aczkolwiek malarstwo każdego z tych artystów posiada charakter odrębny, istnieją wspólne cechy łączące w pewien sposób ich twórcze postawy — wspólna im jest pasja poszukiwawcza, bogactwo wewnętrznych przeżyć, wrażliwość na zmysłową potęgę otaczającej przyrody oraz niezawodna intuicja malarska. Odrzucają oni bierne odtwarzanie, stając wobec nieograniczonych perspektyw tworzenia. Obrazy ich niczego nie udają.

Nie należy w ich obrazach szukać naśladownictwa objektywnej rzeczywistości, czy wąskiego, ograniczonego podobieństwa do niej, ale szerokiej z nią analogii. Operują oni swobodnym przetwarzaniem, porównaniem, metaforą, uogólnieniem, syntezą, lapidarnym skrótem. Sztuka ich nie jest sztuką naśladowczą, jest to sztuka poszukiwawcza, sztuka koncepcyjna.

Wrażliwe malarstwo Heleny Majewskiej przemawia urokiem poetyckich skojarzeń. Psychiczne dyspozycje artystki, bogata gama odczuć, pozwalają jej przetwarzać nagromadzone wzruszenia w formy zupełnie wyjątkowe. Transponuje ona studia zrobione z natury w dekoracyjne kompozycje, których sens polega jednak nie tylko na wartościach formalnych, lecz na zawartej w nich treści głębokiego przeżycia. Świat roślin, odwieczne piękno przyrody, stoją u podstaw jej inspiracji artystycznych. W niektórych obrazach wydaje się być zawarta synteza zachwytu artystki doznaniami czerpanymi ze świata przebogatych form przyrody, które potrafi przetworzyć na nowe kreacje, na nowe fakty plastyczne. Finezyjny kształt, który określa kolor wyczuty z niezwykłą wrażliwością żyje swym własnym życiem, drga w ruchu ciągłego szukania, zastyga na chwilę jakby w odnalezionym marzeniu.

Obrazy Jerzego Majewskiego działają dynamizmem treści, zawartej w magii malarskich znaków. Artysta przeżywa rzeczywistość mocno i gwałtownie, z niecierpliwością nowych zdarzeń. Szukające gesty chwytają istotę elementów plastycznych w określonym zjawisku. Dynamizm koloru i formy potęguje ekspresję obrazu o wewnętrznych dramatycznych spięciach. W swoich pejzażach miejskich Jerzy Majewski odnajduje urodę spiętrzonych dachów, odbiegającą daleko od powszechnie uznanej „ładności". Orkiestracja nasyconych plam barwnych, ujętych niekiedy w drapieżny kontur ukazuje klimat, atmosferę, jakoby syntezę miasta. Wielokrotnie powraca do tego tematu dochodząc do ujęć przestrzennych przekrojów, będących samą istotą zjawiska.

Jerzy Majewski posiada szeroki wachlarz zainteresowań tematycznych oraz bogactwo środków plastycznego wyrazu. Jego prace pulsują wewnętrznym życiem, jakąś gwałtowną dramaturgią. Jego żywa, rozwijająca się twórczość jest afirmacją pełni życia, jego zrywów, pasji, szukania i dążenia, dynamiki i ruchu.

Twórczość Zdzisława Ostrowskiego odznacza się konsekwencją w wyborze środków plastycznych, wyrażających świat doznań i przeżyć artysty. Zgromadzone na wystawie prace tworzą jednolitą całość, w obrębie której dokonują się poszukiwania artysty, określają właściwy artyście styl.

W sztuce Zdzisława Ostrowskiego przeważa czynnik subiektywny nad obiektywnym, pojęcie nad wrażeniem.

Szereg doznań zmysłowych, nagromadzonych nieraz w podświadomości artysty, dojrzewa w procesie tworzenia jako synteza przeżycia, jako synteza zjawiska. Artysta, malując na przykład pejzaż, nie maluje konkretnie określonego wycinka przyrody, nie maluje jego przypadkowych i zmiennych cech, ale jego istotę, maluje syntezę doznań uczuciowych i intelektualnych skojarzeń związanych z szeregiem ujrzanych i przeżytych pejzaży — Zdzisław Ostrowski dąży w swej sztuce do wyrażenia w lapidarnym skrócie uogólnień pojęciowych. Bodźcem do powstawania obrazu jest mnogość doznań zmysłowych, wzruszeń i przeżyć uczuciowych, które jednak krystalizują się jako synteza tych wszystkich spraw.

Zdzisława Ostrowskiego interesuje człowiek, przyroda, odwieczny ruch materii i tu szuka inspiracji do powstawania swych obrazów. Każdy obraz jest dla niego nowym odkryciem, wciąż nową, wielką przygodą wyobraźni, w którą angażuje całą swą osobowość. Operuje on zwężoną gamą barwną, która jednak nasycona jest ogromnym bogactwem odcieni i tonów, których zestawienia świadczą o absolutnym słuchu kolorystycznym artysty. Obrazy Zdzisława Ostrowskiego działają całą sumą wartości plastycznych, nasycone są treścią jakichś ostatecznych rozstrzygnięć dramatu.

Twórczość tych młodych malarzy rzeszowskich, których prace pokazane są na wystawie, to wynik ich rzetelnych wysiłków i niełatwych zmagań, to manifestacja życia, to wyraz współdziałania twórczego z potężnymi siłami naszego czasu, wyraz nowych pojęć i nowych wyobrażeń współczesnego człowieka.

RÓWNOCZESNIE z wyżej omawianą ekspozycją trwa w Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie gościnna wystawa rysunku i malarstwa Izabelli Wicińskiej, aktorki teatru „Rozmaitości" w Krakowie.

Izabella Wicińska po ukończeniu studiów plastycznych w ASP w Krakowie poświęciła się pracy aktorskiej; stąd może w jej malarstwie poczesne miejsce zajmuje tematyka poświęcona scenie teatralnej. Rysunki i gwasze to przeważnie portrety aktorów w ich scenicznych wcieleniach. Wrażliwą kreską wydobywa artystka charakterystyczne cechy portretowanych osób, ujmuje istotę ich osobowości, dominującą rolę wyznaczając psychologicznej treści portretu.

Cykl obrazów będących swego rodzaju plastycznym wyrazem sztuki teatralnej, jej klimatu i nastroju, jest szczególnie interesujący. Artystkę interesuje ruch, akcja i gest przedstawianych postaci, interesuje ją nastrój zdarzenia.

Środki plastyczne służą do wywołania określonego nastroju, specyficznej atmosfery, choć przedmiot nie traci tu swej ważności, tak samo jak nie traci swego znaczenia otaczająca go przestrzeń, światło, powietrze.

Obrazy Izabelli Wicińskiej fascynują szczerością przeżycia artystki. Maksymalne wydobycie możliwości wyrazowych charakteryzuje jej płótna.

Renata Niemirska-Pisarek

Fot. A. Hadala

Jerzy Majewski Miasto II (technika mieszana)

Z DZIEJÓW INTELIGENCJI POSTĘPOWEJ

KAZIMIERA GAWARECKA

W POCZĄTKACH XX w., w latach poprzedzających rewolucję, w czasie rewolucji i później, lubelska postępowa inteligencja szczególnie żywo interesowała się polityką, wstępując w szeregi Polskiej Partii Socjalistycznej, bądź Demokracji Postępowej. Wpływ PPS na robotników lubelskich datuje się od 1905 roku w fabrykach Domańskiego, Wolskiego, Heesa, Plagego i Laśkiewicza, Moritza i w Cementowni „Firlej". W 1902 roku odbył się VI Zjazd PPS w Lublinie, a w 1905 r. powstał Lubelski Okręgowy Komitet Robotniczy. Do Komitetu, wpływami swymi obejmującego nie tylko robotników, ale młodzież szkolną i inteligencję postępową, należeli Witold Trzciński, Ludwik Śledziński, Bolesław Gliczyński i dr Stefan Rudzki.

Witold Trzciński — inżynier, na wieść o rewolucji powrócił do kraju i działał w Lublinie i Łodzi. Publicznymi przemówieniami zwrócił na siebie uwagę żandarmerii i musiał opuścić Lublin w październiku 1905 r.

Ludwik Śledziński — robotnik tkacz założył związek robotników cukrowni w Lublinie.

Bolesław Gliczyński — geometra zamieszkały w Lublinie, brał czynny udział w pracach Komitetu.

(Dokończenie na str. 13)

REKLAMOWA POCZTÓWKA ...Z CIENIEM

Adolf Jakubowicz — Beskidy. Pejzaż z cerkiewką.

(Dokończenie ze str. 1)

dą" na Bieszczady, „modą" na Podkarpacie, „modą" na bijący rekordy frekwencji Łańcut. Wniosek z tych rozmów jest jeden: słowa zachwytu od pieszych trampów wędrujących przez połoniny i... zbiorowe zdziwienie turystów zmotoryzowanych, wycieczkowiczów — wobec prymitywu i ubóstwa urządzeń turystycznych i usługowych.

Gdyby przyjąć w województwie bardzo ostrożną liczbę około miliona przyjezdnych w ciągu roku, przy obecnej bazie noclegowej, na jedno łóżko w tzw. bazie uspołecznionej i domach prywatnych przypada około 300 potencjalnych kandydatów! Wskaźnik, jakiego nie ma żaden atrakcyjny turystycznie region w kraju.

Moda bywa czasami kapryśna. Moda na Rzeszowskie może się skończyć równie szybko, jak powstała. Nie każdy turysta, wczasowicz czy letnik ma na tyle sił i ochoty, by nosić na własnych plecach wyżywienie i sprzęt turystyczny. Wielu z nich pojedzie tam, gdzie oferuje mu się lepsze warunki wypoczynku, wyżywienia, przyzwoity nocleg, miejsce na biwak. A miejsc takich zaczyna być w Polsce coraz więcej.

Jeśli z faktu tego nie wyciągniemy we właściwym czasie odpowiednich wniosków, kolorowymi plakatami reklamującymi uroki Rzeszowszczyzny można będzie tapetować biura. Biura zajmujące się turystyką w pierwszej kolejności. Po raz drugi zachęcić ludzi do przyjazdu, gdy nie zapomnieli jeszcze poprzednich kłopotów, będzie bardzo trudno.

Oto kilka przykładów ilustrujących sceptycyzm piszącego.

*

Łańcut. Początek września. W dawnej portierni przy bramie wjazdowej biuro obsługi turystów prowadzone przez ruchliwy Oddział PTTK. Przez Łańcut przewinęło się w roku ubiegłym ponad 300.000 turystów. W okresie nasilenia ruchu turystycznego na jedno miejsce przy restauracyjnym stoliku czeka od piętnastu do dwudziestu konsumentów! Nocleg w Łańcucie? 120 miejsc przysporzonych miastu w Domu Turysty przez PTTK, 120 miejsc w Domu Turysty, kilkadziesiąt w prywatnych kwaterach, osiemdziesiąt w Technikum Rachunkowości Rolnej w Wysokiej. Do Łańcuta przy ładnej pogodzie przyjeżdża 3—4.000 turystów dziennie.

*

Myczkowce. Pierwsza z zapór wodnych na Sanie. Parokilometrowy zalew. Urzekający pejzaż. W pobliżu zapory świetnie wkomponowany w zieleń, interesujący architektonicznie hotel energetyków. W hotelu restauracja.

To właśnie na podstawie Myczkowiec co znakomitsi Koledzy tworzą nowe mity, oleodruki o szczęśliwym i radosnym „dziś" Bieszczadów. W pobliżu zapory powstały całe osiedla domków campingowych, budowanych przez zakłady pracy, instytucje, przedsiębiorstwa. Idę o zakład, że trudno by znaleźć w Myczkowcach i Lesku człowieka, który potrafi powiedzieć, ile ich jest.

W domkach mieszkają ludzie. A ci znosząc szereg campingowych niewygód potrzebują jeść. Restauracja hotelowa przy najlepszych chęciach może wydać dziennie 500—600 obiadów. Gdzie ma jeść ta reszta, która w okresie sezonu, w sobotę lub niedzielę liczy od 1500—2000 ludzi?

Czy wyobrażacie sobie camping bez wody? Proszę pojechać do Myczkowiec. W lecie dziesiątki ludzi, jak za Piasta Kołodzieja, po wodę dreptało do jedynego w okolicy źródełka, gdzie brało się wodę do picia, do mycia, lekkich przepierek... Tym razem obeszło się bez epidemii.

A „jezioro"? Jezioro jest tabu! Nie wolno się kąpać, nie wolno pływać, nie wolno zbliżać się do zapory, nie wolno fotografować!... To tylko Bułgarzy są tak „nieostrożni", że zdjęcia swych zapór wodnych umieszczają w wychodzących w kilku językach prospektach turystycznych...

*

Rzeszowskie ma niezłą ceramikę ludową, którą możecie kupić w Warszawie. W Rzeszowie możecie kupić piękne lalki w strojach krakowskich i góralskich. W województwie tym poza pocztówkami produkowanymi przez zakład PTTK w Jaśle nie wytwarza się pamiątek z wyraźnym określeniem, że kupi je turysta, zabierze, lub wyśle swym bliskim.

W roku ubiegłym dla podniesienia poziomu pamiątkarstwa Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie zorganizował nawet konkurs na projekty wyrobów pamiątkarskich. Ocena wyników konkursu była pełna superlatywów. Tylko że pamiątek nadal nie ma. W całym województwie nie można znaleźć przedsiębiorstwa, które podjęłoby się produkcji prostych, nieskomplikowanych drobiazgów.

W 1961 roku mały punkt sprzedaży pamiątek w Łańcucie miał ponad 300.000 złotych obrotu. W tym roku sumę tę osiągnął już na początku września.

*

Gdy otwierano rejon konwencji turystycznej w rejonie Dukli, zdawano sobie u nas na ogół sprawę, że okolica ta będzie odwiedzana chętnie przez naszych sąsiadów z Południa. W pobliżu znajduje się Dolina Śmierci, gdzie obok żołnierzy radzieckich zginęło wielu żołnierzy czechosłowackich.

W Dukli znajduje się cmentarz poległych w walkach o Przełęcz Dukielską.

Tylko pierwszy rok konwencji przyniósł większe zainteresowanie. W okresie od pierwszego czerwca do końca sierpnia ubiegłego roku punkt graniczny w Barwinku przekroczyło ponad dwadzieścia siedem tysięcy turystów czeskich i polskich. W analogicznym okresie bieżącego roku liczba ta zmalała o około 12.000.

*

A więc wszystko, o czym piszę, ma być zaprzeczeniem kolorowego plakatu? Bynajmniej. Zdrowy rozsądek podyktuje na pewno szereg rozwiązań. Znaleźć je można w uchwale sesji, w wypowiedziach dyskutantów.

W trzecim dniu zatrzymaliśmy się na krótki postój we wsi Cisna w powiecie leskim, wsi leżącej przy ważnym skrzyżowaniu głównych traktów bieszczadzkich. Tuż przy drodze stoi nowy, niedawno ukończony dom. Do ściany przytwierdzona znajoma z wielu szlaków tablica: „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Stacja Turystyczna".

Stację prowadzi Jan Wierzbicki. Ten dom jest jego własnością. Oprowadza nas po nim. Wykłóca się z przewodniczącym Zarządu Okręgu PTTK magistrem Brydakiem z Rzeszowa o jakieś tam koce, prześcieradła, materace.

Pomyślcie tylko. Jeden człowiek przysporzył bieszczadzkim turystom czterdzieści przyzwoitych, turystycznych miejsc noclegowych! Bez wielkich inwestycji, nakładów, planowania i zatwierdzania... Pokazywał nam sutereny, w których zamierza urządzić... garaż. Nie dla siebie. Dla ludzi, którzy tutaj nieuchronnie przyjadą. Czy jest jakimś wyjątkiem? Nie. Setki miejsc noclegowych w najpiękniejszych rejonach województwa stworzyli ludzie we własnych domach.

Myślę, że bardzo dobrze się stało, że na rzeszowskiej sesji turystycznej jako jeden z dyskutantów zabrał głos zastępca przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki Michał Jekiel.

Przypomniał on prawdę, o której tak jeszcze często zapomina się u nas, że nie ma mowy o postępie w rozwiązaniu najtrudniejszego problemu turystyki w Rzeszowskiem: zwiększenia bazy noclegowej i poprawy usług turystycznych bez oparcia się na społecznym aktywie bez pozyskania dla spraw turystyki rad narodowych, bez bardziej śmiałego sięgnięcia do gospodarności i inicjatywy społecznej samej ludności. Poinformował również zebranych o pracach prowadzonych na szczeblu centralnym przy przygotowaniu zasad organizacji bazy noclegowej, wypoczynkowej wykorzystującej domy mieszkańców terenów turystycznych.

Wrześniowa sesja była na pewno potrzebna. Choćby dlatego, że stworzyła precedens szerszych dyskusji na te tematy, że zobowiązała rady narodowe z terenów o nasilonym ruchu turystycznym do odbywania dwu specjalnych posiedzeń przed rozpoczęciem sezonu turystycznego i po jego zakończeniu.

Adolf Jakubowicz

OKOLICA POETÓW

(Dokończenie ze str. 2)

nem Przybosiem (patrz S. Czernika „Dialog o liryce").

Ale nie o autentyzmie chcę tutaj pisać. Raczej o Stanisławie Czerniku — autentyście i najważniejszej jego książce, jaką jest jego praca „Okolica Poetów".* Jest to niemal monografia pisma, które Czernik przed wojną redagował. Stanowi ona właściwie sumę trzech odrębnych książek: wspomnienia, antologii i bibliografii.

A razem te trzy działy składają się na jedną z najciekawszych książek o polskim dwudziestoleciu.

Największy ciężar gatunkowy posiada część wspomnieniowa. Zawarł w niej Czernik całe dzieje pisma, wszystkie jego perypetie, przebieg licznych kampanii krytycznych i bojów o autentyzm, liczne sylwetki towarzyszy broni i sympatyków. Wspomnienia Czernika wyróżnia od innych pamiętników niezwykła rzeczowość i umiar, powiedziałbym nawet: skromność. Żadnej tu przesady, koloryzowania zachwiania proporcji. Subiektywizmowi narracji przeciwstawia się bogata dokumentacja rzeczowa, fakty wykluczają zbytek wyobraźni. Ujmująca jest jedna cecha wspomnień Czernika, cecha, którą okazywał zawsze Czernik jako teoretyk autentyzmu. Czernik nigdy nie był teoretykiem wojującym, będąc wtajemniczonym nie stał się apostołem, mówił, podawał do wiadomości, a nie przekonywał. Tłumaczył zamiast narzucać. Nie objawiała się u niego taka żarliwość przekonania, jak u niektórych teoretyków awangardy. Pod tym względem krańcowo przeciwną postawę reprezentuje Jan Bolesław Ożóg, przykład autentysty wojującego.

W swoich wspomnieniach autor przeprowadza bilans, ocenia dorobek pisma, dokonuje obrachunków ze swymi dawnymi przeciwnikami. I tu znów objawia się niecodzienna postawa. Czernik ocenia przeciwników sprawiedliwie, obiektywnie, bez żadnego zacietrzewienia, a błędy potrafi i sobie wytykać. Do pewnego stopnia praca ta aktualizuje spór o autentyzm, choć dziś jest to już spór bardziej obchodzący historyka literatury, niż bieżące życie literackie.

Dalszą partię książki obejmują materiały, głównie artykuły Czernika o autentyzmie, następnie wybór odpowiedzi na ankietę „Jak powstaje wiersz" oraz wybrane listy pisane do redaktora „Okolicy Poetów". Ta część ostatnia wydaje mi się bardzo interesująca. Wobec braku u nas tego, co Francuzi nazywają „journal intime", i zamknięcia korespondencji współczesnych pisarzy w archiwach domowych lub bibliotecznych, te listy stanowią lekturę frapującą. Nie chodzi o plotki, bo tych tu nie ma; ale o zwykłą informację, o materiał pomocniczy do poznania pisarza i jego twórczości. O smakowitości listów do „Okolicy" decyduje także zestaw nazwisk: Czachowski, Czechowicz, Czyżewski, Irzykowski, Nałkowska, Staff, Tuwim... Dla przykładu wystarczy.

Książkę zamyka bibliografia zawartości „Okolicy Poetów" opracowana przez Ewę Mendelską. Można by jej zarzucić tylko to, że zbytecznie podaje informacje, w jakim zbiorze był później przedrukowany poszczególny wiersz umieszczony w piśmie. Szkoda na to miejsca tym bardziej, że autorka nie ustrzegła się od przeoczeń (wiersze Czechowicza). Mimo to „Okolica Poetów" może być wzorem dla tego typu prac. Dlatego można się podpisać pod słowami autorki przedmowy, Ewy Korzeniewskiej: „Przykład S. Czernika powinien znaleźć naśladowców. Opracowanie przez ludzi współpracujących w redakcjach dziejów czasopism przygotowałoby niezmiernie cenne materiały dla historyków literatury, a także dla tych coraz liczniejszych czytelników, którzy w pracach dokumentalnych próbują znaleźć własną prawdę o przeszłości".

Po lekturze pracy Stanisława Czernika czekamy zwłaszcza my w Lublinie, na książkę wspomnieniową o „Kamenie". Archiwum przedwojennej „Kameny" i Kazimierza Andrzeja Jaworskiego jest o wiele bogatsze, czas wychodzenia pisma dłuższy, krąg współpracowników szerszy. To są powody dla których sympatycy „Kameny" na tę pozycję tak bardzo czekają. Czemu wspominam o tym tutaj? Choćby dlatego, że Czernik nazwał „Kamenę" starszą siostrą „Okolicy Poetów".

Tadeusz Kłak

* Czernik Stanisław: Okolica Poetów. Wspomnienia i materiały. Poznań 1961. Wydawnictwo Poznańskie.

ROZMOWY Z FAULKNEREM

(Dokończenie ze str. 3)

wyeliminuje wszystko, co było dla nas niemiłe, zmartwienie z powodu stłuczonej szyby, tak że pozostaje tylko to, co miłe. Zadowolenie jest może nie tym, co jest, tylko tym, co było.

X: Wspominał pan kiedyś paru rosyjskich pisarzy. Co sądzi pan o Dostojewskim, czu uważa go pan za jednego z najlepszych?

Faulkner: Jest tym, który nie tylko wywarł na mnie ogromny wpływ, ale też jego lektura sprawia mi wielką przyjemność. I czytam go wciąż od nowa co roku, co dwa lata. Zarówno ze względu na opanowanie rzemiosła powieściowego, jak ze względu na znajomość głębi duszy ludzkiej i wielki dar współczucia, był on jednym z tych, do których każdy współczesny pisarz, jeśli tylko stać go na to, stara się upodobnić. Można powiedzieć, że ten pozostawił po sobie dobitne „Ja tu byłem".

X: Ktoś, z kim pan rozmawiał, zestawił listę cnót ludzkich. Czy pamięta pan może jeszcze tę listę?

Faulkner: Użyjmy lepszej nazwy niż cnoty i mówmy o prawdach ludzkiego serca. Są to: odwaga, uczciwość, duma i współczucie. W moim przekonaniu uprawiamy je nie dlatego, że to cnoty, ale dlatego, że to dobre, że są to filary, na których wspiera się cała historia Człowieka i dzięki temu przetrwał on jako gatunek. Gdyby nie te prawdy, od dawna zniknąłby z powierzchni ziem jak Mastodont i inne przeminione gatunki, które w trakcie historii ziemi zjawiały się i znikały. Człowiek mimo swej wątłości przetrwał, bo przyjął te prawdy za swoje i uwierzył w nie. Musimy być uczciwi nie dlatego, że to cnotliwe, ale dlatego, że to jedyny sposób, aby żyć. Gdyby się ludzie tylko stale okłamywali nawzajem, nikt by nigdy nie wiedział, czego się trzymać. Gdyby ludzie nie znali współczucia, cóż kazałoby się opiekować słabym stworzeniem, póki nie jest w stanie iść o własnych siłach. Gdyby nie odrobina dumy, nie mielibyśmy nic, czym byśmy się szczycili, nikt nie mógłby sobie powiedzieć: „To dobra robota; nie zrobiłem paskudztwa, którego bym się musiał wstydzić; mogę sobie odpocząć z czystym sumieniem..." Nie idziemy za tymi prawdami jako za cnotami, ale dlatego, że to jest najlepszy sposób, aby żyć w spokoju z samym sobą i z innymi ludźmi.

Wg „Gespräche mit Faulkner" H. Goverts Verlag wybrała i spolszczyła A. T.

PO POWROCIE Z POLSKI

(Dokończenie ze str. 10)

się przyznać), ale też wrażenia wyniosłam niezapomniane. Nie z powodu graczy — z powodu kibiców. Byli nimi głównie r o d z i c e licealistów!... Co za szczęście, że na meczach międzynarodowych rodzice polskich zawodników stanowią znikomy odsetek widzów. W przeciwnym razie chyba żaden obcy sportowiec nie ważyłby się do Polski przyjechać, skoro i bez przewagi rodzicielskiej kibice polscy nie dają sobie w kij dmuchać.

W Krościenku ludzie przede wszystkim odpoczywają, w Szczawnicy — leczą się. Szczawnica w swej zdrojowej części ma secesyjny wdzięk XIX-wiecznego badu. Nad tym XIX wiekiem wystrzelił obecnie nowy, wielopiętrowy, ultranowoczesny, kolorowy, szklany i metalowy gmach sanatorium „Hutnik". Imponująca wieża musiała budzić niezdrową sensację, gdyż wywieszka na drzwiach zakazuje zwiedzania wnętrza. Z tego zamkniętego przed obcymi pałacu wychodzą pacjenci, przeważnie starsi, spracowani ludzie, hutnicy, leczący tu zawodowe schorzenia dróg oddechowych.

To nie jest sfabrykowana legenda. Ale nie wszystko w tych stronach skłania do optymistycznych refleksji.

W STRONĘ CIENIA

W dniu naszego wyjazdu całe Krościenko było wstrząśnięte ponurym wydarzeniem. We wsi jest niewielki tartak, własność prywatna. Właściciel tartaku zatrudniał jakiegoś krewnego żony, głuchoniemego debila. Doszło między nimi do sporu. Ostatecznie głuchoniemy zasadził się na swego antagonistę, wyskoczył na niego z kamieniem w garści i zatłukł na śmierć. Zabity zostawił żonę i troje małych dzieci.

Debilizm, związany z tradycyjną podhalańską nędzą oraz alkoholizmem — wciąż jeszcze daje się tu we znaki. Z racji krwawego wydarzenia gospodyni wylicza mi całą listę mieszkańców Krościenka, upośledzonych na umyśle. Jeden, podleczony w Kobierzynie, wrócił, ożenił się, miał dwoje dzieci, i tak rodzinę dręczył, aż uciekli gdzieś daleko do miasta. Inny, tyranizowany przez ojca, marzy tylko o usamodzielnieniu się, to znaczy przede wszystkim — o ożenku. W sąsiednim obejściu widywałam młodą debilkę z widocznym, żywym instynktem macierzyńskim...

Mówi się u nas tak wiele i pisze o świadomym rodzicielstwie u ludzi normalnych. A co robi się, by zapobiec nieświadomemu rodzicielstwu tam, gdzie jest ono już po prostu tragedią społeczną? Kiedy na świat przychodzą istoty, o których z góry wiadomo, iż będą cierpieć ponad miarę i że będą ciężarem dla społeczeństwa?...

Czy tak być musi?

WRACAMY

„Wejść to nic, lecz zejść to sztuka" — powiadają taternicy.

Pojechać na wczasy to nic, ale wrócić...

W Pieniny dojechać można tylko autobusem. W Szczawnicy zorganizowano przedsprzedaż biletów autobusowych na dwa dni naprzód. Ale cóż z tego, skoro autobusy mają z gumy tylko opony. W rezultacie na jakieś 10 dni przed 1 września wczasowiczów ogarnia — nie bez racji niestety — panika powrotowa. Ludzie o 6 rano stają w kolejce do kasy z przedsprzedażą, a kasa otwiera się o 15. Ci, którzy stają później — mają minimalne szanse dostania biletu do Krakowa, przez Kraków zaś prowadzą wszystkie drogi powrotu.

A równocześnie codziennie autobusy Szczawnica — Czorsztyn, obsługujące spływ — chodzą w tym okresie całkiem puste, jako że potencjalni ich pasażerowie albo przed czasem wyjechali, albo właśnie stoją w kolejce. Czy nie można by tych wozów w ostatnim tygodniu sierpnia puścić na trasę Szczawnica — Kraków? A jeśli to jest z jakichś względów niemożliwe, czy nie można doprawdy znaleźć sposobu, aby dla tysięcy ludzi, którzy przyjechali tu po odpoczynek i po zdrowie — powrót nie był postrachem i mordęgą?

Notabene nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.

Nie dostaliśmy biletów do Krakowa, wypadło wracać do Lublina znacznie uciążliwszą trasą przez Tarnów. Wytrzęsło nas co prawda jak wszyscy diabli na odcinku Nowy Sącz — Tarnów (boję się, że Pan Minister Komunikacji nigdy tam służbowym wozem nie dotarł!...), ale za to objechaliśmy dokoła serpentyną Jezioro Rożnowskie. Co za widoki: ni to Włochy, ni to Szwajcaria!

Jaki to ciekawy kraj — Polska.
Jaki to dziwny kraj — Polska.
Jaki to ładny kraj — Polska.

Anna Tatarkiewicz

Widzi mi się

W NAŁĘCZOWIE (1)

W NAŁĘCZOWIE byłem dawniej dwa razy przelotnie, ale dopiero teraz z konieczności poznałem tę miejscowość dokładnie. I chociaż nigdy nie podzielę zdania Prusa przyznającego tutejszemu pejzażowi wyższość nad krajobrazem tatrzańskim (dla mnie te rzeczy są nieporównywalne), trudno mi nie uznać, że zarówno samo uzdrowisko, jak i jego okolica, mają swoisty urok.

Uzdrowisko liczy sobie z górą półwiecza wieku, bo, jak mówią pamiętniki Dębowskiego, już książę Adam Czartoryski, który zazwyczaj odwiedzał Bardiów, w r. 1821 „kuracji używał w Nałęczowie". Już wtedy, choć dopiero w dziesięć lat później profesor Uniwersytetu Warszawskiego chemik Celiński dokonał analizy miejscowych wód mineralnych i stwierdził ich wartości lecznicze. „Kurier Warszawski" w roku 1821 zachwalał „piękne łazienki na wzór warszawski murowane i urządzone, dom gościnny o 20 stancjach, oberżę, bilard, restaurację z trunkami i wszelkimi artykułami do dobrego stołu służącymi", a w roku 1823 pisał: „chcieć wspomnieć o dobroci, zaletach wód mineralnych w Nałęczowie byłoby to powtarzać, co przykłady, tysiącznymi doświadczeniami wsparte, od 20 przeszło lat stwierdzają". Od dwudziestu przeszło lat. A więc słusznie na głazie pamiątkowym w parku widnieje wyryty rok 1800 jako data powstania uzdrowiska.

Rewolucja listopadowa przerywa ten rozwój. Małachowscy sprzedają Nałęczów, który przechodzi z rąk do rąk, tak że przez pewien czas właścicielami jego stają się i Rosjanie. Pałacowi wraz z parkiem grozi nawet wydzierżawienie ich na obóz dla artylerii... Dopiero gdy Nałęczów wróci znowu do rąk polskich i nabędzie go Michał Górski, dzięki doktorowi Fortunatowi Nowickiemu i założonej przez niego spółce uzdrowisko zacznie się gwałtownie rozwijać i do największego rozkwitu dojdzie w dwu ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia. Miejscowość staje się modna: przyjeżdża się tu nie tylko dla wypoczynku i kuracji, ale i dla zabawy: bale, reuniony, koncerty, przedstawienia amatorskie, wieczorne przejażdżki łódkami po stawie, promenady po iluminowanym lampionami parku ściągają tu liczne rzesze żądne odmiennych niż w mieście rozrywek. A potem, na początku obecnego wieku, letnisko stanie się kuźnią pracy politycznej i społecznej wśród ludu. Tyle świetnych nazwisk pisarzy, polityków i działaczy oświatowych zwiąże się z tą miejscowością.

Już nigdy potem Nałęczów nie będzie tętnić takim życiem. W Polsce niepodległej dla byłych „królewiaków" staną otworem kurorty przykarpackie, bardziej atrakcyjne i skuteczniejsze w lecznictwie, liczba więc kuracjuszy zmniejszy się znacznie. Ostatnia wojna dokona zniszczenia zakładu zdrojowego, łazienek i wielu willi. I teraz jeszcze uzdrowisko nie wygoiło wszystkich ran wojennych, choć już dźwignęło się z upadku i ma widoki rozwoju, o czym świadczy spółdzielnia mieszkaniowa, budowa sanatorium nauczycielskiego i projekt wzniesienia drugiego — dla kolejarzy.

Nie wiem, jaki ruch panuje tu w sezonie letnim. We wrześniu przyjezdnych widziało się tu niezbyt wielu. Ale za to odsłonił mi się Nałęczów z innej strony. Przecież to miasteczko uczącej się młodzieży: liceum ogólnokształcące, sztuk plastycznych, technikum ekonomiczne, dwie szkoły typu niższego i liczne internaty w murowanych i drewnianych willach. Na ulicach pełno młodych sympatycznych twarzy i roześmianych głosów. Uczniowie i nauczyciele mają tu idealne warunki do pracy: cisza, spokój, doskonałe powietrze, wspaniale zadrzewiony park, falisty, pełen zieleni krajobraz, wzgórza i malownicze wąwozy — w wolnych chwilach tyle miejsca do spacerów i bliskich wycieczek. Miałby się z czego cieszyć Żeromski, gdyby to mógł dzisiaj oglądać. Ziarno rzucone kiedyś przez niego i ludzi z nim i „Światłem" związanych nie poszło na marne. A jego dar dla dzieci nałęczowskich — ochronka, obecnie przedszkole imienia Adama Żeromskiego, od rana rozbrzmiewa gwarem najmłodszych obywateli.

X. Rovay

Z DZIEJÓW INTELIGENCJI POSTĘPOWEJ

(Dokończenie ze str. 11)

Dr med. S t e f a n R u d z k i — jeden z najczynniejszych członków Komitetu Robotniczego, był lubiany i ceniony przez inteligencję lubelską. Urodził się w 1875 roku w Żytomierzu z ojca Jana i matki Amelii z Lisowskich. Gimnazjum ukończył w Radomiu, gdzie ojciec jego był archiwariuszem Okręgowego Zarządu Lasów. Cesarsko-Wojskową Akademię Medyczną ukończył w Petersburgu. W 1898 r. otrzymał stopień lekarza z wyróżnieniem, a potem został przeniesiony do rezerwy w powiecie petersburskim. W 1902 roku przybył do Lublina, gdzie już w 1903 r. (3 marca) został nadetatowym ordynatorem szpitala św. Wicentego a Paulo. W 1905 r. na czas trwania stanu wojennego w Lublinie, wprowadzonego z powodu strajków i manifestacji, został aresztowany i wywieziony. Wobec tego, że stan wojenny w Lublinie trwał krótko (od 11.VI do 19.XI), dr Stefan Rudzki powrócił do Lublina. Powtórnie aresztowany w 1906 roku, przebywał w cytadeli warszawskiej, skąd został przewieziony do Lublina. Groziła mu kara śmierci bez sądu z rozkazu Generała Gubernatora Skałona. Dzięki energicznej interwencji adwokata Patka uniknął stryczka i został skazany na zesłanie do guberni wołogdzkiej. Kara ta, dzięki staraniom przyjaciół i wspomnianego wyżej adwokata, zamieniona została na karę wyjazdu za granicę Królestwa. Po wyjeździe za granicę dr Rudzki pracował jakiś czas w Kulparkowie pod Lwowem i w sanatorium dr K. Dłuskiego w Zakopanem. Następnie widzimy go jako lekarza wojskowego i komendanta w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, lecz nie bierze już czynnego udziału w życiu politycznym. Endecja nienawidziła tego czynnego członka partii i starała się wszędzie mu zaszkodzić.

Działaczy i członków lubelskiej organizacji PPS było około 60 osób. wśród nich była spora liczba kobiet. I tak: Franciszka Arnsztajnowa, Zofia Czarnecka, Janina Deciuszówna, Stefania i Zofia Konstantynowicz, Zofia Kratowska i dwie jej córki Julia i Maria, Maria Papiewska.

Najbardziej znane na terenie Lublina były: Franciszka Arnsztajnowa — poetka, Maria Papiewska — właścicielka przedszkola i szkoły dla ochroniarek, Zofia Kratowska — tzw. „Babcia" — uczestniczka powstania 1863 r. Całe swe obszerne mieszkanie przy ul. Gubernatorskiej, dziś Kościuszki, oddała na usługi partii. Mieściło się w nim tzw. Biuro Partyjne, a w 1902 r. — odbył się w tym mieszkaniu wspomniany wyżej VI Zjazd PPS.

Wśród mężczyzn w lubelskiej organizacji PPS widzimy braci Wąsowskich, Stefana dr medycyny i Władysława — geometrę. Na czele młodzieży socjalistycznej stał Witold Giełżyński. Jego zasługą jest zmontowanie drukarni na Podwalu, gdzie drukowano proklamacje i odezwy.

W Nałęczowie, w kontakcie z Żeromskim, działał brat Stefana Rudzkiego, lekarz zakładu nałęczowskiego — Przemysław Rudzki i jego żona Julia, która opiekowała się ochroną, założoną przez Żeromskiego w okresie, gdy mieściła się ona w willi „Oktawia".

W Hrubieszowie, a potem w Lublinie działał dr medycyny Paweł Jankowski.

Po rozłamie partii prawie cała organizacja lubelska przeszła do lewicy PPS.

W 1905 roku powstała organizacja niesocjalistyczna zwana „Postępową Demokracją", podtrzymująca kontakty z PPS. Jej członkami byli dr M. Biernacki, dr K. Jaczewski, dr A. Staniszewski, dr B. S. Sitkowski, dr J. Modrzewski, dr M. Arnsztajn i wielu innych. Oni częstokroć narażali własne życie i poświęcali mienie dla celów organizacji. W ich mieszkaniach odbywały się zebrania partyjne, oni przechowywali tzw. „bibułę" partyjną, a nawet broń i nieśli pomoc bojownikom o wolność. W 1906 r. dr Mieczysław Biernacki stanął na czele grupy postępowej inteligencji i wraz z nią opuścił szeregi stowarzyszenia „Macierzy szkolnej", opanowanej w owym czasie przez endecję i założył nowe, bardziej postępowe stowarzyszenie pod nazwą „Światło".

PPS i PD stanowiły wspólny front przeciwko wrogiej agitacji i zakusom endecji.

Przyszli działacze postępowi znaleźli na terenie miasta Lublina glebę przeoraną przez swoich poprzedników.

Kazimiera Gawarecka

Na podstawie „Kroniki ruchu rewolucyjnego" rok 1937, WAP — Lublin — Rząd Gubernialny Lubelski — rok 1904 Nr 23/59.

PRZYPOMINAMY O KONKURSIE!

W związku z reformą programów szkolnych, w związku z aktualnymi problemami wychowawczymi — praca Nauczyciela budzi obecnie szczególnie żywe zainteresowanie szerokich kół społecznych.

Chcąc uzyskać „z pierwszej ręki" materiały na temat życia i pracy Nauczycieli, Wydział Kultury PWRN, Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie i Redakcja „Kameny"

ogłaszają konkurs pod hasłem:

„DZIEŃ POWSZEDNI NAUCZYCIELA"

Apelujemy do Wszystkich Nauczycieli, a przede wszystkim do Nauczycieli 4 współpracujących województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego, rzeszowskiego, aby wzięli jak najliczniejszy udział w naszym konkursie.

Piszcie o trudnościach, jakie macie w pracy z uczniami i w kontaktach z rodzicami, o satysfakcji, jaką Wasza praca daje, o tym, jak układają się Wasze stosunki z otoczeniem, o dokształcaniu się, o działalności kulturalno-oświatowej, o życiu osobistym, o wszelkich Waszych troskach, kłopotach i radościach.

Prace na konkurs mogą mieć dowolną formę: relacji, pamiętnika, reportażu itp.

Nie ograniczając rozmiarów, najchętniej wypowiedzi odpowiadające 5-10 stronom znormalizowanego maszynopisu (32 linijki na kartce, margines 2,5 cm).

Prace mogą być nadsyłane w rękopisie, wolelibyśmy jednak maszynopisy.

W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

1 nagroda — 1500 zł
2 drugie nagrody — po 1000 zł
3 trzecie nagrody — po 500 zł

Ponadto przyznane będą liczne nagrody książkowe.

Najciekawsze prace publikowane będą w „Kamenie" w całości lub we fragmentach, za normalnym honorarium autorskim.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie możliwość zmian w podziale nagród.

Prace prosimy nadsyłać do dnia 15.XI.1962 r. pod adresem Dwutygodnik „Kamena", Lublin, ul. Graniczna 1-c z adnotacją na kopercie: „Konkurs".

Prosimy o podpisywanie prac godłem, z załączeniem nazwiska i adresu w osobnej, zaklejonej kopercie.

Skład Jury Konkursu podany zostanie w terminie późniejszym.

NOTY

WE WRZEŚNIU UPŁYNĘŁO 50 LAT od śmierci jednego z największych poetów czeskich Jarosława Vrchlickiego (Emila Fridy), autora liryk: „Księgi i pieśni", „Droga do Eldorado", „Wyspy koralowe" i in., poematów: „Hilarion", „Twardowski", „Bar Kochba" i kilku dramatów. Vrchlicky był wielkim przyjacielem Polaków: przełożył „Dziady" Mickiewicza, występował przeciwko polityce germanizacyjnej w Poznańskiem, uczestniczył w sprowadzeniu zwłok Mickiewicza do Krakowa. W pogrzebie poety czeskiego brała udział kilkuosobowa delegacja polska (m. in. artystka Stanisława Wysocka). Wiele utworów Vrchlickiego przełożono na język polski (Br. Grabowski i Miriam Przesmycki).

REWELACJA. Jak twierdzi J. Z. Słojewski („Tajemnica zielonego kufra albo Sienkiewicz zakneblowany" — „Współczesność" nr 18) rodzina znakomitego pisarza posiada nieznaną korespondencję autora (a może też pamiętnik) i teksty, które zachowuje u siebie, gdyż „absolutnie nie mogą być udostępione". Słusznie pisze Słojewski, że „listy wielkich pisarzy mają wartość dokumentalną i artystyczną", że przez ukrywanie ich „społeczeństwo traci teksty, które mogą być wspaniałą literaturą".

DLACZEGO TAK? W artykule „Tytaniczny grafoman o Kraszewskim pół serio" („Współczesność" nr 14) znajdujemy taką opinię o niedawno zmarłym prof. Wiktorze Hahnie: „zajmował się wyłącznie Kraszewskim, jeśli nie liczyć dorywczych prac bibliograficznych". A Szymonowicz, Słowacki, Korzeniowski i Ibsen się nie liczą? Ale czytajmy dalej: „Teksty profesora są prawdziwą kopalnią wiedzy o Kraszewskim. Ale jeśli spojrzeć na nie z innego punktu widzenia, to okażą się one prawdziwą kopalnią wiedzy o ich autorze. W swoich pierwszych tekstach prof. Hahn analizował Kraszewskiego z szerszego punktu widzenia, zestawiał z Klementyną z Tańskich Hofmanową a raz zestawił z Szekspirem. W następnych zrezygnował z komparastyki na rzecz krytyki immanentnej, metodami naukowymi badał prawdopodobieństwo psychologiczne Stacha z Konar i innych osób; gdy nie udało się udowodnić prawdopodobieństwa, rezygnował z metod naukowych na rzecz malarskich stwierdzając, że postać jest barwna. W ostatnich wstępach analizował autora „Banity" wyłącznie metodą Totenheimera; ograniczał się do podawania dat pierwszych wydań i miejscowości, w których przebywał autor w trakcie pisania, dawał wiarę tylko cyfrom i nazewnictwu geograficznemu. Ten szkicowy rozwój osobowości twórczej profesora Hahna powinien dać dużo do myślenia osobom, które uważają, że najwięcej może powiedzieć o Kraszewskim specjalista". Ta przydługa cytata (nie chcieliśmy wyrywać zdań), tak samo daje dużo do myślenia. Ten ironiczny, lekceważący, jeśli nie złośliwy ton w stosunku do zasłużonego profesora, o którym autor artykułu sam wspomina: „zmarły niedawno w wieku blisko dziewięćdziesięciu lat"...

MOŻNA INACZEJ. Z prawdziwą przyjemnością czyta się kolejną z „Głów wawelskich" Ryszarda Kosińskiego (nr 39 „Życia Literackiego") poświęconą niezmordowanemu i zawsze żywotnemu prof. Stanisławowi Pigoniowi, który w r. 1959 miał aż 1229 pozycji bibliograficznych związanych ze swą pracą. Kosiński pisze o sędziwym profesorze ciepło, serdecznie i ze zrozumiałym dystansem.

CHEŁM SIĘ RUSZA. Z racji 579-lecia nadania miastu przywilejów lokacyjnych na prawie magdeburskim, staraniem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej ukazała się (chyba już czwarta z kolei) jednodniówka zawierająca materiał historyczny, regionalny, literacki i informacyjny. W ramach tegorocznych wrześniowych Dni Chełma obok imprez o charakterze naukowym, sportowym i młodzieżowym odbyły się również spotkania literackie dla starszego społeczeństwa i dla chełmskiej, okszowskiej i rejowieckiej młodzieży szkolnej z poetami chełmskimi: Wacławem Mrozowskim (obecnie — Łódź), Zdzisławem Popowskim (ob. — Warszawa) i Czesławem Twardzikiem. Z jednodniówki dowiadujemy się o pożytecznej inicjatywie podjętej w ramach działalności uniwersytetów robotniczych i Tow. Wiedzy Powszechnej — objazdu pow. chełmskiego przez trzech prelegentów: Stanisława Skibińskiego, asystenta Muzeum Ziemi Chełmskiej, Longina Jana Okonia i Czesława Twardzika z tematami: „Dzieje miasta Świerż", „Literatura Ziemi Chełmskiej" i „Satyra zwierciadłem życia". Imprezy te cieszyły się na wsi ogromnym powodzeniem.

— kaj —

Ceterum censeo

CAŁKOWICIE się zgadzam z sądem „Polityki" o wartości książki pt. „Oktawia", której autorka „tak konstruuje ostatnie rozdziały swojej powieści, aby ze szczegółów pożycia małżeńskiego wielkiego pisarza uczynić przedmiot publicznej sensacji". Ale w tej opowieści irytuje nie tylko sposób, w jaki skreślono życie wspaniałej i nieszczęśliwej kobiety, bez należytego dystansu dotykając spraw bardzo delikatnych i drażliwych, ale i język, jakim się przy tym posłużono. Jaka nieporadność, jakie ubóstwo przejawiające się choćby w czternastokrotnym (sic!) użyciu germanizmu „bez reszty" (restlos) — str. 63, 67, 73, 73, 77, 88, 90, 92, 103, 114, 154, 162, 165, 169) — jakbyśmy nie mieli polskich wyrazów „zupełnie" czy „całkowicie", lub w tych francuskich wyrażonkach „a propos" (89, 96) czy „par force" (180). Nie brak i rusycyzmów: „nie jako guwernera, a literata" (72), „nie dla zasady, a z konieczności" (83), „nie ona, a on" (99), plany, realizację których (10), „na nałęczowski adres" (80), „przesyłał na jej adres" (86), „gdzie nie spojrzeć" (183). Są i „zaistniałe warunki" (112), i „zaistniała sytuacja" (174), i „wytypowane do druku utwory" (96) i „oczekiwać na kogoś" (97, 171), i „wyczekiwać na kogoś" (78), i „nie więcej jak" (166), i „z dniem pierwszego stycznia" (41), i „przekonywująco" (28, 44), i w bierniku „tą" (165) i nawet „do czterdziestu (!) dzieci" (157). I takim językiem pisze się o mocarzu słowa i jego pierwszej żonie!

WIELCE Szanowna Koleżanka Naczelna w n-rze 17 „Kameny" poświęciła zwalczanej przeze mnie „chałturze" aż cały artykuł. Nie przekonał mnie on wcale. „Chałtura" nie należy do „dobrze asymilujących się wyrazów obcych". Jeszcze raz przypomnę, że najnowszy słownik języka polskiego PAN uwzględniający takie nowotwory, jak „babka" (o dziewczynie), „cegła" (o książce), „chodliwy" (o towarze) wśród swych haseł „chałtury" nie zawiera. Nie potrzeba ani męskiej, ani kobiecej logiki, żeby sobie uświadomić, iż „musi istnieć pierwszy moment przenikania do języka jakiegoś obcego wyrazu nazywającego np. rzecz dotąd bezimienną". Oczywiście, ale tylko wtedy, kiedy istnieje potrzeba takiego zapożyczenia. Od lat już aktorzy miewali „pobocznyj i prieimuszczestwienno logkij zarabotok swierch osnownogo" i jakoś nie posługiwali się dla określenia dodatkowego zarobku tym wyrazem ani pod zaborami, ani w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Jeśli teraz nagle zapałali taką miłością do rosyjskiej „chałtury", niechże jej używają w rozmowie między sobą, ale nie wprowadzają jej do języka literackiego, chyba że w cudzysłowie. Wydaje mi się, że tolerancyjność Koleżanki Naczelnej w stosunku do tego wyrazu wypływa z racji jej długoletniej pracy w teatrze i obracanie się w środowisku aktorskim. A fonetycznie i Koleżance ten wyraz się nie podoba. Jak i „smacznego". Ale tego powiedzonka polski savoir vivre nie uznaje: Mahlzeit! To germanizm nie tylko językowy, ale i zwyczajowy.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby na łamach „Kameny" częściej pojawiały się tego rodzaju kontrowersje, świadczące o tym, że sprawy tworzywa, którym dla literata jest język, są nam bliskie. I niech także zabierają głos zarówno fachowi językoznawcy, jak i mający jakieś wątpliwości filologiczne czytelnicy. Ceterum censeo linguam nostram esse purgandam (et non esse chałturandam...)

Caius

80-lecie Muzeum w Chełmie

(Dokończenie ze str. 8)

dzieła sztuki kościelnej unickiej, dział archeologiczny rozwinął się dopiero od 1934 roku. (Wbrew nazwie muzeum „cerkiewno-archeologiczne" zabytków archeologicznych w dzisiejszym rozumieniu nie posiadało). Od 1930 r. Muzeum Ziemi Chełmskiej nosiło imię swego inicjatora i opiekuna — Wiktora Ambroziewicza, byłego dyrektora tej szkoły. Później powstała Komisja Muzealna, w skład której weszli: Jadwiga Jędrzejewska-Sowińska, jako opiekun muzeum oraz Kazimierz Janczykowski i Marian Jumborski — wszyscy nauczyciele Gimnazjum im. St. Czarnieckiego.

Druga wojna światowa znacznie boleśniej dotknęła zbiory muzealne, aniżeli pierwsza wojna (1915—1916). Okupanci wraz ze swymi współpracownikami wywieźli najcenniejsze eksponaty, zwłaszcza kościelnej sztuki unickiej, które dotychczas nie zostały jeszcze odzyskane. Rozwinęły się natomiast i powstały nowe działy, jak archeologia, etnografia, historia Chełma i Ziemi Chełmskiej, martyrologia Chełmszczyzny 1939—1944, numizmatyka, sztuka. Muzeum posiada rzadkie starodruki i rękopisy.

Prawdopodobnie już w 1963 roku Muzeum chełmskie otrzyma nowe pomieszczenie w zabytkowym gmachu byłego Kolegium pijarskiego (gdzie obecnie mieści się tylko dział archeologii). Zostaną tutaj urządzone zgodnie z wymogami nowoczesnego muzealnictwa — wystawy i ekspozycje we wszystkich działach. W ten nowoczesny sposób, po raz pierwszy w dziejach naszego sędziwego muzeum, zostanie pokazany cały dorobek kulturalny i dziejowy kilkudziesięciu pokoleń mieszkańców starej Ziemi Chełmskiej. W 81 „wiośnie życia" Muzeum chełmskie stanie się najnowocześniejszą placówką muzealną i drugą co do wielkości po Muzeum Lubelskim na Lubelszczyźnie.

Stanisław Skibiński

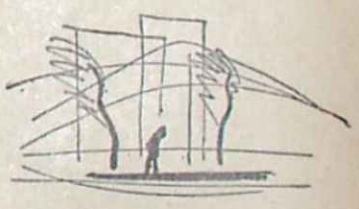

Pozostaję w uprzejmej opozycji...

Wielce Szanowny Kolega Caius zaczyna powtarzać swoje argumenty: „Jeszcze raz przypomnę, że najnowszy słownik języka polskiego PAN, uwzględniający takie nowotwory, jak „babka" (o dziewczynie), „cegła" (o książce), „chodliwy" (o towarze), wśród swych haseł „chałtury" nie zawiera".

I cóż z tego, — pozwolę sobie zapytać — skoro zawiera ją Słownik etymologiczny Brücknera i Słownik wyrazów obcych wydany przez PIW (pracowało nad nim około stu uczonych)? Powtarzam ze swej strony, że chałtura może być używana w polskiej mowie na tej samej zasadzie, na jakiej używa się 16999-ciu pozostałych wyrazów obcych zawartych w wymienionym Słowniku. A już pochodne chałturzysta, chałturzyć są nowotworami powstałymi na skutek asymilacji.

Czy istnieje potrzeba zapożyczenia? Moim zdaniem, istnieje, ponieważ zakres znaczeniowy tego słowa nie mieści się całkowicie w słowie tandeta, popieranym przez Caiusa. Nie tylko sens obiektywny*, ale i pejoratywny. Wyrazem chałtura w sensie pejoratywnym posługujemy się dzisiaj do określenia niedbałej roboty artystycznej, nigdy zaś w stosunku do takiego przedmiotu, jak np. palto. Przy tym chałtura użyta pejoratywnie ma odcień bardziej dosadny. Kupując obuwie tandetne, zrobione z zastępczych, nietrwałych materiałów, nie mamy do nikogo pretensji, gdy jest modne, zgrabne i tanie, kiedy natomiast charakteryzujemy jakiś występ estradowy słowem chałtura, towarzyszy temu wyrazowi mniejsza lub większa pasja potępienia.

Pejoratywny sens słowa chałtura pokrywa się raczej z sensem wyrazu szmira (od niem. Schmiere, utwór literacki, przedstawienie, film bez żadnej wartości artystycznej). A tej szmiry — dla odmiany — nie ma w Słowniku Brücknera. I znowu powiem — cóż z tego? Jest w innych. Zresztą słowniki rejestrują w pewnym momencie wyrazy i formy, przy których uporczywie obstaje wielu „użytkowników" języka. Nie przysięgajmy na świętości słowników!

Sądzę, że wyczerpaliśmy — Caius i ja — nasze argumenty. Czytelnika nie zorientowanego w „Sporze o chałturę" kieruję do numerów 15 i 17 „Kameny". Przekona się chyba, że na przykładzie tego jednego słówka walczę z usztywnionym puryzmem, w imię liberalnego podejścia do spornych kwestii poprawności mowy. Wydaje mi się, iż dyskusja nasza była pożytecznym konkretnym dowodem tego, jak mogą pasjonować literatów sprawy językowe. Kończę przyjemną dla nas wiadomością, że apel mój do Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego odniósł pożądany skutek: Lubelskie Koło Towarzystwa przy Katedrze Filologii Polskiej na UMCS zainteresowało się sporem tak dalece, że dzięki współdziałaniu tej organizacji możemy się spodziewać w krótkim czasie wypowiedzi filologów z prawdziwego zdarzenia, jak również i ludzi teatru, którym Caius łaskawie przyznaje licencję na używanie najbrzydszych wyrazów.

M. B. — R.

* Vide mój artykuł „Przeciwko tabu" w n-rze 17 „Kameny".

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aleksander Gabrusiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Anna Tatarkiewicz * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544.
Lubelska Drukarnia Prasowa — Zam. 3991 2.X.62 D-3.